

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 20. VIII. 1950 r.

Nr 33 (264)

JAN ALEKSANDER KRÓL

WIEJSCY ZETEMPOWCY

(Na marginesie obrad Rady Naczelnej ZMP 31 lipca br.)

W ostatnim numerze „Nowej Kultury” (nr 19) przeczytałem piękny reportaż Mariana Brandysa „Zetempowska robota”. Terenem tej roboty są zespoły młodzieżowe, budujące Nową Hutę. Wymowna tu ilustracja do referatu Władysława Matwina, przewodniczącego Zarządu Głównego ZMP. Matwin mówił w tych dniach na Radzie Naczelnej ZMP o organizacji zetempowskiej jako pomocnika Partii, jako młodszym bracie leninowskiego Komsomolu. W reportażu Brandysa na polach Nowej Huty widać rolę ZMP, ten styl pracy, odpowiedzialności i dyscypliny w brygadach zetempowskich. Ale Matwin stawiał wezwanie wobec całego związku. Wśród milionowej zetempowskiej młodzieży tak robotniczej jak wiejskiej i szkolnej wezwać może i powinna taka atmosfera zapala, entuzjazmu i poświęcenia, jaka cechowała młodzież radziecką — budowniczych Komsomolska nad Amurem, budowniczych wielkich fabryk, zakładów i kolchozów, stalinowskich pięćlatki.

Tę perspektywę załamuje Brandys w swoim reportażu. Jest tu taka scena. Przewodząca do Nowej Huty stara chłopka, chce odebrać syna z budowy i nauki. Brandys odnotowuje rozmowę między chłopką a członkiem zarządu brygady ZMP.

„Niech pani pomyśli o przyszłości syna. Tu nauczy się fachu. Za rok będzie wykwalifikowanym szoferem i dostanie mieszkanie w jednym z tych pięknych białych bloków, które widziała pani po drodze. Sprowadzi pani z dziećmi do Nowej Huty. A pani co? Chce z powrotem ściągnąć syna na wieś? Z powrotem utopiła go w gnojówce? Oby nie musiała pani kiedyś płakać nad dzisiejszą krótkowzrocznością.

Ale za miłym, zawstydzonym uśmiechem Karolakowej kryje się twardy, chłopski upór i z góry powzięta decyzja. Na PGR, gdzie pracuje, lubia jej syna i potrzebują młodych, zdolnych pomocników do traktorów. Powiedziano jej tam zapewne: nie bądźcie głupia Karolakowa i zabierzcie syna z brygady. Na co ona tam tyrać za obiecankę - cacankę. Tu damy mu pracę od zaraz.”

W tej rozmowie Brandys jest po stronie członka Zarządu ZMP. Akceptuje ich argumentację. W odpowiedzi chłopki widzi tylko trywialny realizm, krótkowzroczność ciemnoty. A mnie się wydaje, że w tej rozmowie góruje stara chłopka, a młodzi zetempowcy palą straszliwe głustwo. Bo coż oni mówią? Że płakać się będzie za każde z powrotem ściągnięcie syna na wieś, bo na wsi człowiek topi się w gnojówce. Szczęśliwy ten, którego wygnalię się z gnojówki, a ty, stara matko, nie możesz tego pojąć? Jak tu jest rozumianym awans? Wyjść do miasta (z przynętą: białego bloku?) — to awans! Zostać na wsi — to gnój? Tam do licha! W dobre budowy fundamentów socjalizmu? Kiedy chłopki tworzą spółdzielnie produkcyjne, a cała wieś polska fermentuje tymi przemianami w walce, dyskusjach i doświadczeniach. Kiedy klasa robotnicza, kiedy partia, kieruje na POM-y i PGR-y wypróbowany aktywność górników i metalowców! Kiedy wznaga się akcja łączności brygad robotniczych, kiedy Plan 6-letni przybliża nowe ośrodki przemysłowe do wsi, do zapadłych katów rolniczych, kiedy wyrównuje strukturę przemysłową kraju, unerwiając dawne okręgi Polski B. Kiedy wzmocnionym rozwojem przemysłu chce nadmiar rąk robotniczych ze wsi odciażyć do dalekich ośrodków fabrycznych, hut i kopalni i na bliższą odległość, do nowych, śródrolniczych, aby tym intensywniejsza praca i walka zawrzała na wsi...

Stara chłopka może jest krótkowzroczna, ale to nie zostało udowodnione. Przeciwnie, w jej portrecie odczytujemy co innego. Traktora się nie boi. Wiąże z nim przyszłość syna. Wiąże z nowym na miejscu. A za co dziękuje, od czego się odmawia? Od szczególnego wyróżnienia syna, jakie zapowiada skok, cdrywający go od rówieśników, od młodzieży z jej wsi, i skok, który wybija go w górę i przeciwstawia tamtym, co pozostali. Stara chłopka nie łączy w całość pracy traktorzysty na wsi i sfera w Nowej Hucie, to prawda, nie widzi jeszcze wyraźnie, że na obu pozycjach służy się wspólnej sprawie socjalizmu, ale ona swojej wsi nie porównuje do gnojówki, gdzie człowiek — tonie. Ona na miejscu dostrzega realne zmiany na lepsze, na miejscu już w nie wierzy, na miejscu widzi już awans dla syna,

gdy zdolny i chętny do pracy. Przecież się, będzie przemieniał...

Członkowie Zarządu brygady ZMP nie powiedzieli starej chłopce co należało powiedzieć. I tu, matko, i tam u was, wszędzie budujemy i przebudowujemy. Tu w Nowej Hucie, chcemy skończyć z wiekową „nedzą Galicji”. Tu będzie wielki przemysł, wielka produkcja dla rozwoju, dla lepszej pracy i życia na wsi. Tu ściągnie nadmiar zbędnych sił z biednych, krakowskich przysiółków. Tu będą się chłopki przekształcać na robotników, Tu wyręcznie robotnicze zagłębie, którego siłę i pomoc odczuje zacofany Kraków, odczuje teren, wszystkie gromady i wasza matko również. Kogoś od Was potrzebowałam. Przeszedł Wasz syn, to dobrze. Pracuje on i dla Waszego PGR-u. Macie w synu najlepszy dowód, że Wasz PGR nie jest osamotniony, nie jest opuszczony. Tu się dla niego pracuje, tu się ubezpiecza jego przyszłość. Możecie być Matko spokojni, ktoś inny pójdzie do traktora u Was. Powiedziecie mu, że Wasz syn w Nowej Hucie czuwa i pomaga. Powiedziecie mu, że Wasz syn wywija go do współzawodnictwa, że w tym czasie, kiedy Nowa Huta wyręcznie na gęgant, w Waszym PGR-ze w waszej okolicy dużo już chłopki muszą zmienić i osiągnąć. Powiedziecie, że Wasz syn nie zawiedzie, ale sojuszu chłopsko-robotniczego w sześciolatce u was też zawieść nie wolno!

Członkowie Zarządu brygady ZMP zbalamucili starą chłopkę. Ona, robotnica, przyszła z PGR-u, gdzie przekonała się, że można żyć z kilkorgiem dzieci, że syn ma przyszłość, że nowe wyrasta, że z traktorem poradzi sobie jej dziecko. I jeżeli teraz uwierzyła, że to wszystko gnojówka, w której człowiek się topi, jeżeli ten lek z powrotem w niej ożywił, to — zostawiając syna, uczyniła tak „po staremu” dla szczęśliwszego indywidualnego losu syna.

Błąd Brandysa nie jest odosobniony. Powstał na linii, która rozwinęła, rzecz paradoksalna, bardzo pozytywne fakty.

Nie znajdziecie na wsi chłopka, choćby nawet był reakcjonista, który nie przyzna, że takiego po wojnie wymarszu młodzieży do szkół zawodowych, gimnazjów, i na wyższe uczelnie, jak długo żyje, nigdy nie ogładal i nie mógł sobie wyobrazić.

Sięgam do pierwszych z brzegu meludników naszych korespondentów z 1949 roku. Nowak wylicza, że z jego rodzinnej, rzeszowskiej wsi wyszło ponad 20 osób. Papier, że wsi stopnickiej — 60. Tomala z radomszczańskiej — ponad 100. To wszystko z pojedynczych wsi. Trzeba sobie umieć wyobrazić te wielkie fale odpływu, niejednokrotnie pozostawiające wieś ogoloconą z dorosłej młodzieży.

Bo odpływ nie kończy się na studiującej młodzieży. Jedną falę dała osiedleńcza wędrowka z województw centralnych na Ziemię Odzyskaną; w szescińskim, olsztyńskim wciąż jeszcze oczekiwana. Drugą — odpływ do pracy fabrycznej, do zakładów, przedsiębiorstw komunikacyjnych, handlowych, budowlanych. Trzecią wywołała potrzeba kadr, to była droga młodzieżowej przyszłości — poprzez szkoły fabryczne, zawodowe, gimnazja, wyższe uczelnie.

Czwartą falę podesbrały i podbierały bieżące potrzeby kraju na pracę i pozycje społeczne, polityczne, kulturalne, gospodarcze.

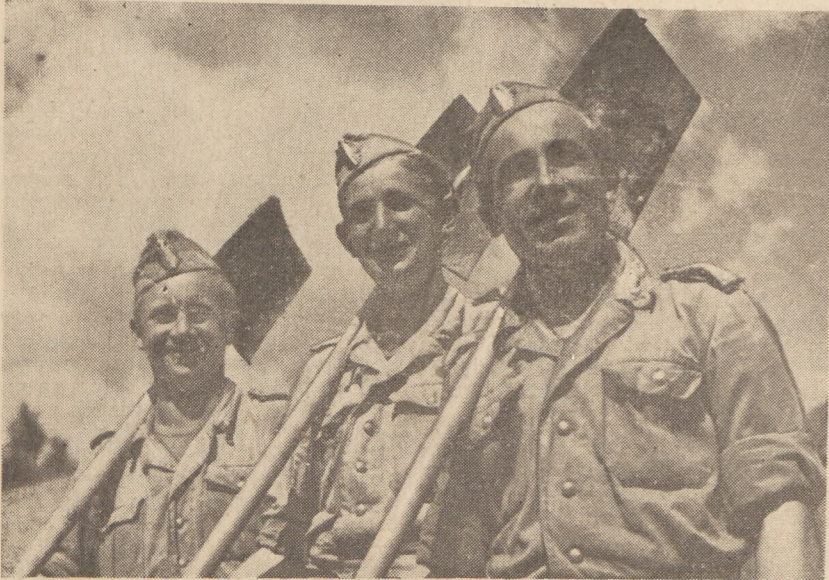
Młodzież z wyrobieniem społecznym sprzed wojny, z zaprawą i zasługami z okresu okupacji, z okaznymi zdolnościami i zapałem po wojnie wciągały instytucje i organizacje powiatu, przetrzącały na dalsze i wyższe placówki.

Jakie to procesy mogły i musiały wywierać wrażenie na wsi?

W NUMERZE

J. LAZARZ — W walce o światłość: Walcząca poezja Afryki,
Głos Czytelników o nagrodzonych: Woroszyłskim, Ha merze i M. Brandysie,
SAMUEL SANDLER — Okres burzy i naporu; W. WILANOWSKI — Prawda o Formozie,
A. OSTOJA — Droga na świat; J. W. GISGES — Wiersze,
J. BRZEŃSKI, W. DRABIK, J. WIERZEJSKA — Nasze doświadczenia.

Biblioteka
CW 9038



WŁADYSŁAW UDALSKI

ZNACZEK ZMP-owski

W klapie marynarki
tuż nad sercem
jak gdyby wyższa mej krwi wartość
białoczerwony płomień —

tętniąca cisza pól zielonych
i upalne dni lipcowe
płynące naprzód ciężkim żniwem
i tryby których wartkim zgrzytem
jest odmierzana krew w moich żyłach

znaczek zetempowski
to sojusz robotniczo - chłopski

to dłoń gorąca od uścisku
z Wietnamu ze skrawionej Grecji
i moje serca palenisko
gdzie czas dorzucą ciężkich treści
i skrzy ociekłe od czerwieni
kując po całej miota ziemi.

Twarz biegiem krwi gorąca
gdy chwila śmiałej chce decyzji
chłodzę o twój spokojny zarys.

Ludzkiego serca miniaturo
nadajesz oczom twardość stali
więc cieszę się że jesteś ze mną
i czuwasz ciągle nad moim życiem
kierując biegiem mych postępków.

JAN NAGRABIECKI

SP

Kradną słońce kofa z szyn,
omotały podwozia widnogrę,
Junacki śpiew pociągami tym
wypływa w przestrzeń jak okręt.

Staneła maszyna. Chłopcy do łopat
i za czub góry się wzięli.
Małżeje w garściach wzniesienie i popatr
zbudowali wiadukt z kamieni.

Tunelem jak gwiazd przeciągłym,
łączącym kopalnie, miasta i wsie,
jadą do dworca pociągi,
w pociągach junacy SP.

W rodzinnych domach, z okien
wygląda matka i ojciec.
Pociąg junackim krokiem
mknie we wrota otwarte na rościę.

Zaskrzypiały zawiasy radośnie,
gościnne, domowe, tak bliskie.
Za węgiel dziękuję głośno
troskliwie matczyko.

WIESŁAW RUSTECKI

MIŁOŚĆ

O miłości
gdy mówisz — głosu nie ścisząj.
Tyle w tym słowie radości
ile pracy pomieszcza szcuple dziewcząt palce.
I powiedzieć „kocham” nie wstydz się
— przecież w komunistycznej epoce
miłością będzie każdy w domu sprzęt
każdy dzień przy pracy, każdy trud powszedni.

Popatrz, jaka piękna
przedownica — tyłu motkom bawo'ny nadaża
i czy wiesz — może twojej matki sukienka
nosi blask jej oczu skupionych

Więc na weselu proś
towarzyszy. Radość naszych czasów
ma twój dziewczyny głos
jej ręce niestrudzone i piękno jej włosów



ta biedna, mało i bezrolna, szukająca pracy i ta, przed którą żądza wiedzy i awansu otwiera szerokie możliwości. Zdawało się, że nauczy się osiągnąć coś, dokonać wielkich czynów, wyróżnić się — można tylko kłamać. Trzeba zrozumieć subiektywne motywy tej pracy do szkół, fabryk i miast fali młodzieży. Dlaczego nie mam wyjść ze wsi na naukę, do zawodu, kiedy Polka nas potrzebuje. Tam, w nieokreślonej bliżej przestrzeni tej Polski Ludowej, która planuje, organizuje, kształci i kieruje, wydobędą ze mnie pełne możliwości i postawią na placówce, na jakiej będą potrzebny. Przecież wciąż nas jest brak poza wsią i powyżej wsi. Takie subiektywne rozgrzeszenie się obserwujemy również i w punktach granicznych. Oto po rocznym kursie świetlicowym nowi kierownicy świetlic w trzech czwartych zbiegają ze swoich posterunków. Są to przeważnie mało i bezrolni wyrobieni aktywiści. Roczny kurs tak ich oszłifował, że zamiast 7.500 zł na funkcji kierownika świetlicy dadzą im niejednokrotnie 20.000 — 25.000 w instytucjach gospodarczych, w gminie i powiecie. Jesteśmy „wyżej” potrzebni, możemy na „szerszej arenie” pracować.

Od lata 1948 roku sprawa stała jasno. I nurt, który odpływa do fabryk i nurt, który odpływa do szkół to są siły napędowe do budowy fundamentów socjalizmu. I nurt, który wznaga walkę klasową na wsi to też siła napędowa socjalizmu na miejscu, w gromadach.

„Młodzieży na wsi ubył, zdolnej, aktywnej, zasłużonej. A stare wyobrażenie przez pierwsze lata sześciolatki — że rozwinąć, odznaczyć się, osiągnąć coś, to wraz z wyższaniem ze wsi, to poza nią — cięża swymi skutkami; Tu ziemia — tam „gdzieś” poza wsią — niebo!”

TU UTOPIĆ SIĘ MOŻNA
W GNOJÓWCE!!!

Czy kolega Brandys słyszy jak fałszywie brzmi to hasło? Czy tak mamy mówić tym, co zostają i tym co wychodzą ze wsi? Tak właśnie mówiono tak w Niemczech m. erze myślicy, ci, co robili skok poza wieś. Wśród uczących się na korespondencyjnych kursach licealnych wielu znajdziecie takich, jak ta dziewczyna, o której z uznaniem pisała Nowa Wieś. I właśnie, wtedy, gdy rozpoczęła Jance zdawało się, że już do końca życia będzie zmuszona pracować w swojej wiosce, sprzedając cukier i zapalki w spółdzielni właśnie wtedy dowiedziała się o korespondencyjnym gimnazjum.”

Rok temu, latem, młody zetempowiec ze wsi rzeszowskiej, Tadeusz Nowak, nadesłał do „Wsi” korespondencję, która wydawała mu się ważną dlatego, że mówiła o awansie społecznym młodzieży „jaki dotąd nie doznał się dziejopisa”. Trzeba było

jeszcze roku, aby doczekał się nie dziejopisa, ale hasła organizacyjnego. Bo to, na co wskazał Nowak, wyrażać od dołu, od terenu wykonywane przez wiejską młodzież zetempowską drogi do roli pomocnika partii, do roli młodszego brata leninowskiego Komsomolu.

Nowak tak pisał:
„Rozumiem, że kiedy dziesiątki i setki tysięcy młodych chłopów odchodzi do wyższej niż wiejska zorganizowanej produkcji, do produkcji fabrycznej — to jest awans.

Kiedy masy młodzieży wychodzą ze wsi do średnich szkół i na wyższe uczelnie — to także jest awans społeczny.

Ale jest też trzeci, niemniej niż tamte ważny, a przecież w obliczu tamtych ile tracący w wyobraźni młodzieży. Musimy go bronić, musimy go podnosić w oczach młodzieży, która jest na wsi i na niej pozostanie. Dla tej młodzieży w tym awansie otwiera się pełny romantyzm naszej rewolucji.

Na czym on polega? Wyjaśnię na przykładzie. Nasza organizacja zetempowska postawiła sobie za cel tak wychować i tak przygotować swoich członków, aby mogli zająć odpowiedzialne stanowiska w kręgu gminy. Połowa pracowników zarządu gminnego to dzisiaj moi koledzy zetempowscy... Mamy nie tylko referenta podatkowego, także komendanta SP, sekretarza koła ZSCH, bibliotekarza, i w Gminnej Radzie zasiadają nasi przedstawiciele młodzieży. Nie posiadają oni wprawdzie średniego wykształcenia, ale wyrobienie społeczne i miłość dla swojej wsi, dla swojej gminy. Ta miłość wtapia ich bez reszty w walkę klasową na miejscu. I w tej walce prowadzi do zburzenia starego, do wylaniania nowych dzieł naszej „lokalnej odczynności”. Po przeczytaniu „Drogi Wolskiej” Becka powtarzamy sobie — toczy się walka jesteśmy na froncie; od czego zależy losy rewolucji? Od wygranej na naszym, lokalnym odcinku!

Przedownicy na szczeblu gminnym i gromadzkim wyrastają u nas bezpośrednio w masę drobno i średniorolnych chłopów. Powoli ale też i nieustannie przejmują młodzież w swoje ręce kierownictwo gminne, decyduje o jej najistotniejszych sprawach. Dawniej przejmowała „urzed” młodzież branta, której podstarali ich ojcowie. Dział próbuje ona wszelkimi sposobami obalić wyrosłe z dołów społecznych wsi autorytety przedownicze. Posługują się plotką, intrygą i nieraz fałszywym oskarżeniem. Ma to i swoje dobre strony, mobilizuje bowiem nasz aktywny i rzetelnej pracy, nie dopuszczającej żadnych zarzutów.”

Kolo liczy 60 członków. Wyrosło z dawnych „Wici”. „Ideologicznie — jak pisał Nowak — wzbogacił się o sojusz chłopsko-robotniczy i rozumienie następującej po walce o reformę rolną walki klasowej uwzględniającej wsi z pozostałościami kapitalizmu. W ten sposób my, dawni wiclarze, przesualiśmy się na nowy etap rewolucji, której celem są wspólne z celami rewolucji proletariackiej i z nich czerpiemy nasz nowy zapał i siłę.”

Mocne, duże Kolo naprawiło drogi gromadzkie, inicjowało i pomogło elektryfikować wieś, własnymi siłami, z niczego, wybudowali i zelektryfikowali świetlicę, urządzili boisko, dysponują drużynami sportowymi, sławną na okolicie orkiestrą (solistami 14—18-lecia m.). Pilnują wrotu tch. co weszli do szkół. W ub. roku miały wrócić dwie koleżanki nauczycielki, dwóch licealistów ze szkoły handlowej do spółdzielni.

Oczekują na swojego inżyniera agronoma. Od naszej wsi znacznie pracuje w spółdzielni produkcyjnej, da przykład całej gminie.

Przenieśmy się do powiatu radomszczańskiego (w woj. łódzkiej). Tu jest ten sam pejzaż okolic przedludniczych, z bezrolnymi i malorolnymi. Radomszczańskie było sławne przed wojną z... niedzy. 30 proc. młodzieży mało i bezrolnej znajdowało się w starych wędrownkach do dworów, na wyręby lasów, do Łodzi, na emigrację sezonową. Tamtejsi średniacy (ziemia licha) dorabiali rzemiosłem — ciesielstwem, krawiectwem, stolarstwem. Ale było to w praktyce rzemiosło wędrujące. Chodzono daleko smarować dachy smółką, noszono koszyki, miotły, zabawki, noszono tłuszcz z przetopionych nów i kotłów, drutowano garnki na podwórkach łódzkich miasteczek.

(dokończenie na str. 2)

DM 541052

WIEJSZY ZETEMPOWCY

JAN ŁAZARZ

W WALCE O ŚWIEŁLICĘ

(dokończenie ze str. 1.)

W takiej wsi tragicznej gminy powiatu radomszczańskiego siedzi nasz korespondent, Gustaw Tomala. W opisie tego korespondenta wybijają się dwa zbiorowi bohaterzy — Partia i wiejskie Koło ZMP. Właśnie działalność koła młodzieży, pod której urlokiem wyraźnie znajduje się Tomala, podyktowała mu podobnie prawidłowe uszeregowanie przemian i podobnie właściwie powiązanie ich w całość jak to uczynił zetempowiec rzeszowski, Nowak.

Do szkół zawodowych, do gimnazjów i na studia wyższe z rodzinnej wsi Tomala wyszło w ciągu pięciu lat 120 osób. Do pracy w zakładach fabrycznych równaż nie mała ilość. Dużą rolę spełniły listy — od pierwszych „pionierów”. Pisało 4 z budowlanych robót (dziś są już technikami), pisało dwóch elektryków, meldunki o elektryfikowaniu wsi, pisało 5 z włókienniczych fabryk w Łodzi. Przed wsią rozwijała się wiza nowa Warszawa, wiza przyszłej wsi, wiza nowego losu robotnika fabrycznego, gospodarza zakładów produkcji, gospodarza kraju. Młodzi, ich droga, wzbudziły u starych na wsi dumę i ufność. „Wśród z piąsaczystej parcelki na kwalifikowanego, zaawansowanego technicznie robotnika, — jak pisał Tomala rok temu — t. zn. w naszych stronach — *wybieś na czołwieka*”. A zyskujący uznanie dawny druciarz czy parobek, syn drobnorolnego, to przecież dziś kwalifikowany robotnik. Jako robotnik zyskał uznanie w rodzinnej, piąsaczystej wsi.

Zdawać by się zatem mogło, że ustalili się w tej wsi tęsknota za skokiem w gotowy, bogatszy i wyższy cywilizacyjny i kulturalnie świat a równoległe zawód i rozczarowanie „do gnojówki na miejscu, w której się tonie”.

Otóż nie! „Oprócz emigracji do załodu i szkół zawodowych — pisał Tomala w 1949 r. — obserwuje się w ostatnich dwu latach na terenie gminy *ruch przeciwny*”. I tu już trzeba zacząć mówić o zetempowskim kole. To ono uplanowało założenie Szkoły Rolniczej. Pisali listy do Ministerstwa, zabiegali przez Związek. Od czterech kolegów otrzymali przysięgę że wróca, aby złożyć te placówki. I wrócili jako nauczyciele dwóch do średniej, dwóch do podstawowej Szkoły Rolniczej. Ta szkoła jest dziś dumą gminy. 65 proc. młodzieży uczy się właśnie w szkołach zawodowych przemysłowych i w tej, rolniczej. Koło młodzieży uczyniło ze Szkoły „Traktor, który orze nową wiosnę”. Młodzież ze szkoły należy do wspólnego koła z młodymi ze wsi, a stąd są i młodzi gospodarze. ZMP-owcy zaprowadzili wzorową spółdzielnię, uprawy warzyw i okopowych. Opory i niechęć w okolicy przelamali, wspólnie z kołami ZSCH i agronomem gminnym utworzyli pierwsze grupy produkcyjne dla poszczególnych działów produkcji. Wstawili się zespołami artystycznym. Pierwsi z nich ruszyli do robotników.

W Łodzi zdobyli sympatię robotników, natychmiast rozpoczęła się akcja łączności. Wysoka sprawność techniczna robotników i ofiarności (wszystkim chłopom malorolnym wyremontowano narzędzia) wzbudziła szczerą podziw. Stare i nowe listy od młodzieży pracującej w fabrykach i na budowach przynoszono na świetlicę do publicznej czytania. Na zaproszenie łódzkie do świetlic robotniczych wycieczkowały setki chłopów.

Koło młodzieży, miejscowej młodzieży, doczekało się powrotu kilku naturzystów do Zarządu Gminy, do spółdzielni samopomocowej, na pocztę. Tych „uczonych” kolegów włącono do koła i podporządkowano strategii walki miejscowej o zmiany rewolucyjne w okolicy. Bo to oni są tu gospodarzami i sprawą ich honoru jest aby tu człowiek nie tonął w gnoju! Rok temu przeszli do szeroko „długofalowo zaplanowaną agitację za spółdzielnią produkcyjną. W „sztabowym planie” uwzględniono wszystkie ility walki i przekonywania. Szkoła olnicza, korpus nauczycielski z odzyskami powszechnymi, z nalotami na trupy produkcyjne, Zarząd Gminy — wycieczki zbiorowe do już pracujących spółdzielni produkcyjnych. Młodzież na studiach w szkołach zawodowych, liceach i wyższych uczelniach została przez Koła zobowiązana do listów agitacyjnych do rodzin, do przygotowania referatów i pogadań w okresie ferii. Młodzież w Szkole Rolniczej i powszechniej rozrabiają ıktywici Koła i mobilizują do rodzinnych rozmów. Nowe programy artystycznych wieczorów świetlicowych składają pod kątem propagandy spółdzielczości, walki z kulakami i ośmieszania zafocfania.

„Powoli lecz stale wzrasta społeczny autorytet młodzieży w naszej gminie — pisał Tomala rok temu — a wraz z nim wzrasta zaufanie do ustroju, do przeciw młodzieży naszą wychowuje i do pracy pobudza nowy ustrój... Nie piszę radośnego artykułu. Rzeczywistość społeczna nie jest z wosku, stawia poważne opory. Wróg klasowy bez walki nie ustępuje. Ustępuje w walce klasowej. U nas prowadzi ją młodzież z całym zapętem i poświęceniem. W walce tej ma potężnego sojusznika, doradcę i kierownika — klasę robotniczą, której oddziaływanie na naszą gminę staje się coraz wyraźniej decydujące, ma partię, której pierwszą szczerą zasadą jest młodzież naszego Koła”.

Zna jest historia Godzianowa, który przed wojną wraz z Liskowem i Albogawą stanowią dla kleru i sanacji pokazową w Polsce kalwarię poka-

zową „duńską wieś”, pokazowy zaścianek „świętej zgody narodowej”. We wsi rozwinęły się wyższe pietra kapitalizmu, skombinowanego poprzez zsydy spółdzielcze ze spółkami, akcjonariuszami i polityczną egzekutywą, reklamującą i broniącą przedsiębiorstwa. Gwiazdorzy Godzianowa byli to „działacze - przedsiębiorcy”, którzy w bardziej skomplikowany sposób, tworząc mleczarnię, spółdzielnię spożywców, piekarnię spółdzielczą, betoniarnię, wytwórnię wód gazowych (wspomagani finansowo przez endecję i sanację) wstawili w kraju wieś, dali zatrudnienie części małego i bezrolnym i sami na prezesurach i dywidentach budowali gospodarstwa — twierdzi maszynowe. Do szkół ludzi ze wsi nie pchali. Za całe 20-letnie wyszło troje. Do pracy w mieście piecionym. Potrzebna była armia rezerwowa biedoty na posługi panów prezesów i na skromniutki, bo „spółdzielcze” wynagrodzenia pracowników fizycznych w przedsiębiorstwach kapitalistycznych - spółdzielczych.

Potrzebna była ciemnota, aby ludzi biednych i kłeci zgodę międzyklasową. Jeden szereg klasowy był już przed wojną nazwany po imieniu: „stamowcy” — młodzi synowie i córki biedoty, potrzebujący ponuro i niepokojąco na „majstrów” wsi pokazowej. Drugi szereg został wreszcie zdemaszkowany i jasno nazwany, właśnie przed stamowców po wojnie — „działacze przedsiębiorcy”. Podczas okupacji stamowcy urządzili tajne kursa gimnazjalne, po wojnie wybudowali własnymi siłami gimnazjum i burzę. Stare pokolenie przez dziesiątki lat wychowywane w mieście i sławie Godzianowa, włączone w sto form zależności od patronów przez pierwsze lata powojenne ulegało inicjatywie działaczy - przedsiębiorców, których dewizą życiową było „kumać się” i „pasować” i którzy świetnie znali się na „społecznym działaniu gospodarczym”. Jedyny atak mógł wyjść i wyszedł od stamowców. Długo tu nie było koła Partii i drogę do jego powstania utworowali właśnie rewolucyjni stamowcy.

Był czas, co tu ukrywać, że bezrolny, stary woźny, jedyny członek PPR-u, tań na wsi swą przynależność. Na pierwsze wystąpienie stamowców reagowała egzekutywa przedsiębiorców akcją ich ministerstwa propagandy i że tak powiem, sztuki. Na murach kościoła zawieszono afisz z wierszem apologety starego porządku:

„Stara wiara twierdzi, młody niech słucha... niech sądu nie dają sztubaki nędzarze, lepiej niech z książką chodzą dalej w parze”.

W rezultacie samemu „ministrowi” propagandy zbuntował się syn. Bunt młodych w Godzianowie należał do bardzo kosztownych. „Nababów” kapitalistycznych było kilku, ale biednych chłopów wciągniętych w maszynę przedsiębiorstwa za ochłapy zysków — wielu. W walce o dorobek z innymi biednymi włożyli się w tresurę polityki i ideologii przedsiębiorców ci, którzy „dla chleba” skarli do lokalnej i ekonomicznej duszy. Bunt młodych, bunt stamowców miał być ukroczony najcięższą represją: kłatwą rodzinną! Nie pomogły próby rozmów i przekonywań. „Mój ojciec — pisał jeden ze stamowców — stary Wyzwoleńcze, kiedy się dokonała reforma rolna i wyszedł dekret, powiedział, że nareszcie ruch ludowy osiągnął swoje. A ja się wyklócam z nim i ze starymi ludowcami. Mówię czego się nauczyłem, że chłopci dogonili dopiero burżuazję, a muszą dogonić robotników. Ojciec i tamci powiadają, że wraz z panem zniknął kapitalizm, i „mącić” więcej nie trzeba. A ja mówię, że na wsi jest nadal kapitalizm, a na naszej, jako wielki i jaki perfidny, jak tumaniający. No i teraz mojemu ojcu i tamnym trzeba będzie pokazać *prawdziwą wieś bez kapitalizmu*, bo mi inaczej nie uwieryją i nie pójdą za robotnikami”.

Kłatwy zostały rzucone, tzn. — z dwu domów bogaczy i kilku biedniejszych klientów wyrzucono „na zbytu łeb” 16—17-letnich synów rewolucjonistów. Poszli, ci najmłodszy, „kumać się” i „pasować” już nie będą, choć w takiej tradycji wychowywano wieś przez kilkadziesiąt lat. Część przyjęła bursa gimnazjum stamowców. Są na miejscu, walczą. W opinii publicznej na świętokradstwo zaczyna wyglądać czyn ojców. Część wygnanych poszła dalej — partia i starsi stamowcy, którzy w mrokach okupacji zdobywali licealne wykształcenie — pomogli. Pomogli walczącym, zawziętym, hartującym się zetempowcom. Gimnazjum, twierdzą stamowców, potroiła wyjazd kilkadziesiąt uczniów — prelegentów na Godzianów, Zapady, Maków, Lipce i dalsze okolice. Stamowcy inicjowali, stamowcy pomagali partii założyć spółdzielnię produkcyjną w Godzianowie, w tej twierdzy perfidnej utudy kapitalistycznej. W okolicy sprawa Godzianowa, sprawa walki stamowców z działaczami — przedsiębiorcami urosła do znaczenia symbolu. Tu osiągnięte pełne zwycięstwo stamowców to zdobytą powiat!

Hasło rzucone przez Matwina na Radzie Naczelnej ZMP o organizacji — pomocniku Partii i młodszemu bracie leninowskiego Komsomolu, zapowiada wyzwolenie sił i pragnień młodzieży, przekucie w cel i zadanie powszechne w organizacji tego, do czego już dochodził w pionierskich próbach teren, co odkrywał i przez co naprawdę zwyciężał.

Kiedy w niedługim czasie odbędzie się Drugi Zjazd Krajowy ZMP, gdzie Deklarację Ideowo - Programową,

Prawo i Statut zastąpią nowe dokumenty, do których — jak mówił Matwin — już dojrzelismy, trzeba dziś doświadczenia, odkrycia i osiągnięcia terenowe młodzieży wydobywać, jako drogowskazy i postulaty. Trzeba wydobywać zwycięzcy — wrozy walczących wiejskich zetempowców.

Latem ubiegłego roku nadesłał nam swój życiorys 18-letni zetempowiec, Bogusław Szykuła z powiatu zamojskiego. Rodzice mieli 5 ha (z lasem i łąką) we wsi Labunie. Czterolatniego chłopca odumarli ojciec. W 1942 r. Niemcy wysiedlili gromadę. Potem z okolicy ścignęli biedotę, która nie miała się gdzie zacząć, na służbę w nasiedlonych bauerów. Wtedy to — jak pisał Szykuła — mikołajczykowski służył rozpętały straszną propagandę przeciwko Armii Radzieckiej, przeciwko komunie. Starszy brat Szykuła dał się wciągnąć do AK i przetrwał tam w bandach do 46 r. Młody myślał o bracie, a równocześnie zastanawiał się dlaczego nastąpiła reforma rolna i szkolna. „Pomaleńku zacząłem odrzucać przez moją zafocfane przekonania, zastępując je narazie tylko nieokreślą sympatią dla Polski Ludowej.

W 46 roku kończy 6 oddział, rozczytuje się w prasie, jest celującym uczniem z historii. Wiosną 47 r. wstępuje w szeregi PRW i ćwiczy młodzież całej wsi. Chciał i do „Wici”, ale był za młody. Dziwiło go, że w PRW walczono plotką, a do „Wici”... zachęciano. „Wici” miały wtedy opiekunów w plebanii i PSL-u. Bogacze nie dopuszczali do założenia ZSCH i Koła Gospodyń, mimo, że biedota już się trochę wyemancypowała, przeprowadzając w 47 r. ... po cichu przed bogaczami elektryfikację wsi, a wiosną 48 r. założyła głośniki radiowe. Chłopak patrzył bystro i widział po imieniu jacy bogacze, jacy dawni działacze rozkładają nowo założony ZMP i jak mimo tej kontrolującej roboty oni w rezultacie upadli ZSCH, ich się wybiera na delegatów powiatu, ba, na wójtów. W 47 r. jest uczniem 8 klasy gimnazjum w Zamościu. Wziął się za studiowanie ruchów robotniczych i chłopskich, jest w „Wiciach”, podczas wakacji na kursie SP. W nowym roku szkolnym w ZMP, zostaje sekretarzem, walczy z reakcjonistami, synami chłopów — bogaczy. W grudniu 48 r. pisze pierwsze korespondencje do „Nowej Wsi”, potem „Gromady”. Za zwalczanie ciemnoty, fanatyzmu, wyzysku, kumoterstwa, braku czujności politycznej wywołuje w gminie oburzenie piętnowanych figur a dobrze osadzonych, dobrze w powiecie ubezpieczonych. Pierwszy cios — rodzina zrywa z synem, pomoc materialna urywa się, w domu nie pokazują się! We wsi najfantastyczniejsze plotki — że chce kościół zburzyć i figurę na rodzinnym polu zniwelować. Drugi cios — w gimnazjum, Koło Rodzicielskie nie przyznaje mu zwolnienia z opłat (mimo że prymus) ani bursy. To podejrzany anarchista. Pierwszy rok ZMP-u... Kto się z nim liczy. Obrząda działaczy o „dobrej opinii”... Szkodliwy lewak.

Trzeci cios. Właściciel domu, gdzie mieszkał wyrzuca go, na odepłone proponuje mu drwalkę. Chłopak przenosi się do drwalki, w której panuje wieczna noc. Ale inny lokator tego domu zaprasza go do siebie, mimo ostrzeżeń, że to „podejrzan” typ... Do końca roku wytrwał w szkole nie mógł. To nic, nie szkoła pierwsza, pierwsza walka. Poszedł do powiatowego zarządu ZMP. Dostał robotę przy instruktorze w terenie. We wrześniu miał pojechać na Szkołę Organizacyjną ZMP. Miał wówczas niepełne 18 lat.

Kiedy wydobywam przykłady takich kół i takich zwycięstw wiejskich zetempowców, myślę o tym, co Matwin mówił na Radzie Naczelnej o wrogu, który stara się oczernić i oszkalować w oczach młodzieży Związek Radziecki — twierdzi socjalizm — że to jest główny kierunek uderzeń wroga. „Należy zerwać z szablonem i wąskością naszej dotychczasowej pracy w tej dziedzinie. Niech młodzież nasza zobaczy i pozna całą bezgraniczną ofiarności i poświęcenie naszych radzieckich braci w służbie ludzkości, ich pionierską pracę w torowaniu drogi dla innych narodów, stalnowski hart i ogromną wytrwałność w obronie rewolucji przed wrogiem, ich nieoceniony, przepiękny wkład w skarbnię ogólnoludzkiej nauki, cywilizacji, kultury”.

Niech to wszystko nasza młodzież pozna i zobaczy, nasza wiejska w szczególności, która bezpośrednio bierze udział w walce o socjalizm na wsi. I niech również pozna i zobaczy osiągnięcia swych towarzyszy, które tu u nas sprawdzają i potwierdzają tamtą wielką, październikową drogę.

Te osiągnięcia na pierwszej linii walki i pionierstwa mogą i powinny przekonać młodzież, że może, że potrafi ona stać się w organizacji młodszym bratem leninowskiego Komsomolu.

Te osiągnięcia na pierwszej linii walki i pionierstwa mówią, że dla realizacji Planu Szczęśliwości trzeba je upowszechnić i mówią, jak można je upowszechnić. Plan 6-letni wychodzi młodzieży wiejskiej naprzeciw. Czynie wszystko aby chcieć i móc rozegrać zwycięski bój o socjalizm na miejscu, u siebie na wsi.

Ala trzeba jeszcze, jak idą robotnicze brygady w akcji łączności do chłopów, aby tak poszedł aktywny robotniczy młodzieży ZMP do wiejskich kół, aby transmisja ta była trwałą i nieustanną! Bo młodzież robotnicza jest nierozdzielna częścią klasy robotniczej!

J. Al. Król

Kiedy oświatowiec, mający w praktycznej działalności do czynienia z ruchem świetlicowym na wsi, zastanawia się nad swoją pracą, znajduje się pod wpływem dwu sprzecznych uczuć. Z jednej strony cieszy go każde osiągnięcie, każde porównanie dzisiejszego z przedwojennym stanem, z pierwszymi latami po wojnie, z dniem wczorajszym, cieszy olbrzymi rozmach z jakim nasze państwo idzie na wieś z oświatą, książką, pracą, cieszy go potężny pęd w masach chłopskich do oświaty i kultury, ilość świetlic, zespołów, rozwój szkolenia kadr kulturalno-oświatowych, awans społeczny dziesiątków tysięcy dorosłych i młodzieży dokonujący się w naszych oczach. Z drugiej strony — widzi niezaspokojone potrzeby, niedociągnięcia, mnóstwo nierozwiązanych istotnych zagadnień, piętrzą się przed nim trudności organizacyjne, których mimo wielkiego wysiłku nie udaje mu się rozwiązać własnymi siłami, chociaż chwila nagli a problemy z małych urastają do wielkich rozmiarów wraz z rozwojem ruchu świetlicowego. Znajomość tej „podszewki” ruchu świetlicowego rodzi niekiedy uczucia dalekie od zadowolenia — niepokojące uczucia.

Wielkie osiągnięcia w dziedzinie pracy kult.-oświatowej na wsi powodują, że różne bardzo poważne braki i niedociągnięcia w tej pracy ujawniane od czasu do czasu w sprawozdaniach i artykułach znajdują się jakby w cieniu. A przecież ujawniono poważne choroby wzrostu, przecież jasne jest, że lekceważenie ich i zwlekanie z energiczną akcją zapobiegawczą jest bardzo niebezpieczne, a w każdym ra-

„Trybuna Ludu“ z dn. 16.VI br. zamieszcza notatkę o ruchu świetlicowym w woj. wrocławskim, z której wynika, że wobec planu zwiększenia sieci świetlic z 613 na 800 w ciągu roku, jest już obecnie 1106 świetlic gromadzkich w województwie. A w nich — 105 kolek samokształcenia, 144 zespoły dobrego czytania, 49 zespołów Wszechniczy Radiowej, 357 zespołów teatralnych, 90 zespołów tanecznych, 61 chorów i 35 kapel ludowych.

A zatem widzimy znów olbrzymią rozpiętość między liczbą świetlic, a liczbami obrazującymi konkretną pracę w świetlicach. Widzimy nado w jakim stopniu samorzutny, żywiołowy rozwój sieci świetlic zaskoczył organizatorów. Widzimy, że chłopcy odczuwają silnie potrzebę powołania na wsi placówek w rodzaju świetlic, tworzą je, nie umieją jednak sami zorganizować w nich pracy. W tym nie potrafi im obecnie pomóc ZSCH, chociaż stanowi to jego obowiązek, nie potrafi tego zrobić w zadawalającym stopniu i Zw. Zawodowy Robotników i Prac. Rolnych na swoim odcinku, chociaż ma zadanie stosunkowo łatwiejsze niż ZSCH ze względu na ustawowy obowiązek pomocy ze strony administracji majątków.

Mógłby ktoś zarzucić, że wymienione dane dotyczą wyjątkowo tylko dwóch województw, że w innych województwach jest lepiej pod tym względem. Autor wspomnianego sprawozdania w „Samopomocy Chłopskiej” specjalnie podkreśla, że w pozostałych województwach sytuacja przedstawia się identycznie, jak w szczecińskim, że



Świetlica ZSCH w Drwalewie

nie czas zmarnotrawiony dziś w beczynności nielatwo da się odrobić.

Wystarczy uważnie śledzić wzmianki w czasopiśmie, żeby przekonać się ile słuszności zawiera powyższa diagnoza. W Nr. 21 „Wsi“ z 28 maja br. w artykule T. Ostrowskiego znajdziemy np. taki charakterystyczny szereg cyfr obrazujących rozwój ruchu świetlicowego w szczecińskich PGR-ach w roku ubiegłym:

	31.XII
Świetlic	219 575
Bibliotek w świetl.	— 180
Książek	4.800 18.000
Radioodbiorników w świetl.	— 200
Zespołów artyst.	— 170
Kursów dla anal.	— 295
Uczniów za tych kursach	— 6.500
Kursów samokształc.	— 32
„ jez. rosyjskiego	— 52
Komitetów redakcyjnych gazetek ściennych	— 90
Gazetek wydanych w ciągu roku	— 300
Prelekcji w świetl.	— 2.400

Postęp ogromny, autor artykułu słusznie to podkreśla, są przyczyny zadowolenia. Ale już pobieżna analiza cyfr wykazuje, że wysoka cyfra nowoutworzonych świetlic daje puste lokale, w których nic się nie dzieje. Powyższa tabelka oznacza, że w 405 świetlicach nie było zespołów artystycznych, w 395 nie było książek, w 375 nie było odbiorników radiowych, w 523 świetlicach (94 proc.) nie było kursów samokształcenia, w 485 nie było gazetek ściennych, a w tych 90 świetlicach, gdzie zorganizowano komitety redakcyjne, ukazały się w ciągu roku średnio po trzy gazetki z ułamkiem. Prelekcji przypadło rocznie na świetlicę aż 4 przeciętnie, to znaczy jedna prelekcja na kwartał!

W tym samym czasie, co artykuł T. Ostrowskiego ukazało się w tygodniku „Samopomoc Chłopska” sprawozdanie z działalności świetlic Samopomocy Chłopskiej z tego samego województwa szczecińskiego. Pod koniec I kwartału br. było tam świetlic 623. Ilościowy plan ich rozwoju przekroczył o 180 proc. przewidzianą przez ZSCH cyfrę rocznego przyrostu! 117 spośród tych świetlic znajduje się w spółdzielniach produkcyjnych. Pracę w świetlicach charakteryzują cyfry podobne do poprzednich: zaledwie 148 kursów dla alfabetów, 79 zespołów Wszechniczy Radiowej i 384 zespoły artystyczne.

cia się pracowników instytucji centralnych z terenem.

Uczucie niepokoju jeszcze się zwiększy o ile zastanowić się w jakim to momencie najbardziej wypredza nas żywiołowy pęd na wsi do organizowania świetlic. Dzieje się to właśnie w okresie największego nasilenia akcji zakładania spółdzielni produkcyjnych. A zatem właśnie w ogniu zaostrej walki klasowej postępowe elementy na wsi liczą się ze wzmożonym oddziaływaniem wrogiej ideologii prąd do zakładania świetlic, by dobrać się w światopogląd naukowy, w wiedzę marksistowską, wytyczającą drogi przebudowy wsi.

Naczelnym zadaniem chwili jest planowo pokierować tym żywiołowym ruchem.

Wytworzyła się tradycja, że mówiąc o świetlicach na wsi ma się na myśli zespoły artystyczne. Nie ma w tym pozornie nic dziwnego, bo jest to odbicie stanu faktycznego. Według danych Związku Samopomocy Chłopskiej z kwietnia br. w co drugiej świetlicy był zespół artystyczny, a np. zespół samokształceniowy — w każdej szóstej. Nie trudno dostrzec się w tej sytuacji jednostronnego rozwoju świetlic. Jest bowiem jasne, że prace oświatowe w świetlicach powinny postępować równolegle ze wzrostem ilości zespołów artystycznych, ponieważ praca tych ostatnich bez innych form pracy świetlicowej, bez pracy polityczno-wychowawczej nie wprowadza w procesy powstającej kultury socjalistycznej.

Widzimy zatem, że obok pierwszego najogólniejszego mankamentu — nienadążania w organizowaniu pracy w świetlicy wobec wrastającego zapotrzebowania wsi — mamy i drugi: nienadążanie w organizowaniu prac oświatowych w stosunku do tempa rozwoju prac artystycznych.

Ale i na tym sprawa się nie wyczerpuje. Przy porównaniu ilości różnego rodzaju zespołów oświatowych raz stonkowo mała liczba zespołów oświaty rolniczej, szczególnie groźnie mała jeśli chodzi o świetlice przy spółdzielniach produkcyjnych.

Wypływa to zjawisko z faktu, że główny i prawie wyłączny nacisk przy organizowaniu prac oświatowych kładzie się obok czytelnictwa „w ogóle” na samokształcenie w dziedzinie literatury, historii i sztuki. Za mało jeszcze poświęca się uwagi takim zagadnieniom, jak współczesna wiedza rolnicza, jak wynalazki techniczne i opanowanie przyrody przez ludzi, jak popularyzowanie traktorów, maszyn, mechanizacji itp. Nie kładzie się też dostatecznego nacisku na czytanie i omawianie prasy.

Nie negując bynajmniej znaczenia dyskusji literackich w świetlicach, ani też samokształcenia w historii i sztuce, stwierdzić trzeba, że ograniczanie się przy organizowaniu zajęć oświatowych w świetlicach wiejskich do tych zagadnień oznacza ucieczkę od zagadnień najbardziej aktualnych i najbardziej upolityczonych.

Wiedza rolnicza — to Wiliamas, Miczurin, Lysenko, to wykazanie wyższości i konieczności gospodarki zespołowej (po za jej czysto zawodowo-praktycznym znaczeniem na wsi). Technika, wiadomości o maszynach, o zasadach działania silnika spalinowego pozwalają młodzieży zapalić myślą o mechanizacji, motoryzacji i elektryfikacji wsi, wydożyć uzdolnionych w kierunku technicznym, zachęcić do SPP, szkół zawodowych i wyższych technicznych.

O wprowadzenie tych tematów do zajęć oświatowych w świetlicach wiejskich toczy się bezspornie walka klasowa, brak tych tematów jest rezultatem nacisku wroga w samych świetlicach.

Wzrost świetlic czynna ma się jak najciszej związać z ruchem i rozwojem życia społecznego, czy też ma pozostać w oderwaniu od niego? Czy w chwili zakładania spółdzielni produkcyjnych na wsi powinna świetlica uczynić treścią pracy zagadnienie spółdzielczości (bezpośrednio i pośrednio przez tematy i kierunki pracy oświatowej związane z rozwojem wsi, jak mechanizacja, elektryfikacja, szkolenie zawodowe, ekonomia, polityka) czy też w oderwaniu od tego zagadnienia ma się zastanawiać, czy słusznie uczynił Judym, że rozstał się z Joasia.

J. A. Król we „Wsi” słusznie zauważył na marginesie doświadczeń pewnej świetlicy, że uszła ona wtedy, gdy oderwała się od aktualnych zagadnień swojej wioski, że prosperowała i przyciągała ludność, kiedy młodzież ze świetlicy prowadziła żarzątko walkę o demokrację „Wici”, a ograniczyła swój zasięg do małego koleśka wybranych, kiedy zabrakło w tematyce pracy świetlicowej przełomowych zagadnień politycznych i społecznych.

Tymczasem walka o spółdzielczość produkcyjną jest właśnie walką o kulturę i oświatę na wsi. Spółdzielczość produkcyjna stwarza zapotrzebowanie na wiedzę, jest kuźnią kształtowania się świadomości socjalistycznej. Uwolnienie chłopów od wyzysku, od świadomości drobnego posiadacza, to dźwignię ich na wyższy szczebel kultury.

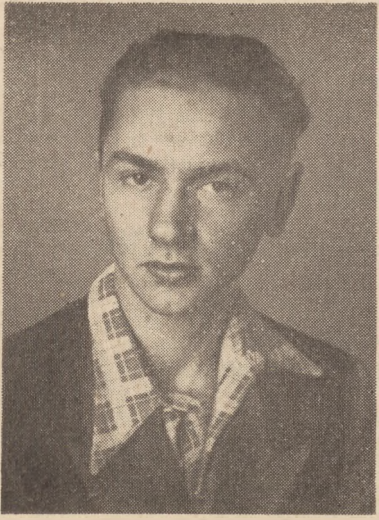
Jan Łazarz.

Głosy czytelników o nagrodzonych pisarzach *

JAN MARSZAŁEK

(Zgry, pow. Sieradzki)

POETA POLITYCZNY



Wiktor Woroszyński

Wiersze Wiktora Woroszyńskiego z tomiku „Śmierci nie ma” zdradzają poeetę, który swoje powołanie pisarskie, swój „trudny urząd czuwania w śnie o brasku” pojmuje w sposób bardzo ambitny. Wiersze te świadczą wymownie o tym, że Woroszyński twórczością swoją wiązać chce nie z własnymi, indywidualnymi, choćby nawet subtelnyymi przeżyciami, ale z wydarzeniami politycznymi w kraju, z doświadczeniami nowych sił społecznych budujących u nas fundamenty socjalizmu.

Stąd też poezja Woroszyńskiego to poezja świadomie polityczna, agitująca. Poeta czuje się zaangażowany w walce o socjalizm i każdym wierszem stara się niejak dorzucić cegiełkę do tej wielkiej budowy.

We wstępnym wierszu tomiku „Na odwrocie nekrologu Wincen- tego Pstrowskiego” — woła:

„Uwaga polityczni poeci,
rębacze wyobraźni, ładowacze
wzruszeń,
wzywam was do współzawod-
nictwa pracy imieniem górni-
ka Pstrowskiego.
Kto da więcej, kto da lepiej,
lepiej i więcej
węgla poezji — do rozgrzania
towarzyszy z miast, wsi i za-
graniczy.”

Takie wiersze jak cytowany powyżej, jak „Ballada o czterech krosnach” czy „Peana na cześć handlu społecznego” — „Ballada o Państwowym Domu Towarowym” świadczą o tym, że ich autor włączył się bez zastrzeżeń w nurt walki o nową, socjalistyczną rzeczywistość, że entuzjazmem do tej rzeczywistości stara się zarazić swych czytelników.

Ta właśnie polityczność, partyjność wierszy Woroszyńskiego stanowi o ich istotnej wartości. Niestety, forma niektórych wierszy w tomiku budzi w czytelniku często uzasadnione sprzeciwy. No, bo nie można budujących, porwijających tematów zbryć słowem, które by nie wzruszało. A tak właśnie ma się rzecz z niektórymi zamieszczonymi w zbiorze „Śmierci nie ma” wierszami Woroszyńskiego. Dla przykładu zakończenie wiersza — „Pierwszy dzień stworzenia”:

„Rzecz jest biblijnie prosta.
Oto w dniu pierwszym
stworzenia
brzmiennym w dni dalsze,
trudniejsze,
los się odważa dwojaki:
jedni znajdują słońce,
więc złotych szcęk nie
szukają,
inni szukają szcęk,
więc im słońce wyfrua
ptakiem.”

Woroszyński maluje tutaj atmosferę pierwszych dni po wywołaniu, ale w słowach jakże niesugestywnych. Aż się wierzyc nie chce, że to ten sam poeta, który napisał następny zaraz w tomiku wiersz „O rówieśnikach krótko”:

W cytowanym fragmencie uderza nie tylko słownictwo i atmosfera biblijno — ewangeliczna, wyraźnie kłócąca się z treścią utworu, ale przede wszystkim szkodliwa dla twórczości poety „koscimność perspektyw”, która rozprasza uwagę czytelnika, miast ją koncentrować („inwalida ocalony z Majdanka znalazł na drodze słońce, wbił je do swego nieba, by świeciło ostro i twardo”). Wiersz ten, jak i jeden z ostatnich w tomiku — „Toast w noc świętojańską” (fragmenty!), uderza przez tego jeszcze czym innym — surowością nieobrobioną artystycznie formę.

A przecież poważna większość utworów ze zbioru świadczy, że Woroszyński potrafi mówić wzruszająco i sugestywnie. Wymienie choćby poemat o Murzynie „Rosa Lee”, „Poezja”, „List intymny”, czy wspomnianą już „Balladę o czterech krosnach” i „Balladę o Państwowym Domu Towarowym”.

Poważne osiągnięcia Woroszyńskiego — poety krytyka do wykazania mu potknięć i błędów, gdyż tylko wtedy twórczość jego będzie społecznie wartościowa, gdy próc pięknych założeń ideowych, próc słusznej myśli politycznej, cechować będzie ją wysoki poziom artystyczny — precyzja myśli, prostota i zwartość formy, sugestywność poetyckiego obrazu. Tylko wtedy poezja jego zdobędzie szerszą bazę społeczną, tylko wtedy ma szansę zdobyć czytelnika masowego i oddziaływać nań w duchu socjalizmu. Tylko wtedy służyć ona będzie klasie robotniczej w jej dzisiejszej walce o socjalizm, tylko wtedy wypełni ona postulat poezji politycznej.

Pisał kiedyś Zbigniew Bienkowski w „Kuznicy”: „Nowi poeci przyszli, potukli stare formy wzruszenia i w skorupach swoje wzruszenie usiłują składać — nieporadnie, nieumiejętnie i niezręcznie. Zarliwi są za to”.

Rzecz cała w tym, że utwory artystycznie niedojrzałe, nie przemawiają tak żarliwością. Brak troski o formę artystyczną utworu mści się i na jego treści. Dlatego też trzeba by przestrzec poetę przed lekceważeniem formy. Wydaje się zresztą, że niedociągnięcia formalne występują tam wszędzie, gdzie poeta nie przeżył głębiej tematu.

Innego rodzaju błędem Woroszyńskiego, tak zresztą jak i większości młodych poetów dzisiejszych, jest metoda luźnego toku kojarzeń, która sprawia, że nawet wiersze fragmentami biorąc — niezłe, mają zalety, są za mało czytelne, mało komunikatywne.

Ilustracją do tego zarzutu mógłby być wiersz pt. „Dziwak”, wiersz o śmieci i świeżej metaforyce, ale zbyt chaotycznej konstrukcji, gdzie rozluźnienie logicznej więzi wyobraźniowej powoduje, że wiersz ten może być czytelny jedynie dla elity inteligentkiej i to tylko tej, która jako tako jest oswojona z nowoczesną, śmiałą metaforą.

Zaś poeta socjalistyczny, jakim Woroszyński świadomie pragnie zostać, nie może ani na chwilę zapomnieć, że celem jego jest oddziaływanie społeczne. Nie może zapominać, że na to, by wiersz jego zagazawał „towarzyszy z miast, wsi i zagranicy” — musi być przede wszystkim czytelny. Poeta socjalistyczny musi dążyć nieustannie do związania swej twórczości z potrzebami czytelnika masowego, nie może on sobie więc pozwalać na jakiś irracjonalny tok skojarzeń, nieprzemawiający prostymi, logicznymi obrazami. Niewątpliwie wiersz „Dziwak” nie zdobył sobie popularności u czytelnika chłopskiego czy robotniczego. A szkoda, bo problem, którego dotyczy jest społecznie ważki.

Błędy, o których mowa nie są bynajmniej nie do uniknięcia — trzeba do tego jasno sprzeciwowej postawy ideowej poety. Musi on tylko oświecić sobie, że przez swobodne niekontrolowane logiką, zbyt odległe kojarzenie obrazów poetyckich z jednej strony i lekceważenie formy wierszy, ubieranie ich w formę surową i rozmyślnie nie obrobioną z drugiej strony autor sam osłabia ich zamierzoną polityczną wymowę. Nie przypuszczam, by Woroszyński na tym zależało i dlatego spodziewać się należy, że w przyszłości uwolni się od tych błędów. Tym bardziej, że już w omawianym tomiku spotkać można wiele prawdziwie, wzruszającej i — budującej poezji, która całkowicie uzasadnia przyznanie młodemu poecie nagrody państwowej.

Ważny choćby poemat „Rosa Lee”, który uczy miłości do człowieka bez względu na kolor skóry, poemat, który ukazując krzywdę mówi jednocześnie, jak z nią walczyć. Wydaje mi się, że „Rosa Lee” nadawałaby się świetnie do recytacji zespolej w świetlicy robotniczej lub chłopskiej. Jej piękny, wzruszający język przy czystości obrazu, przy całkowitym braku niekontrolowanego logiką fantazjowności i głęboko budująca, humanistyczna treść każą w niej widzieć jeden z najpiękniejszych utworów Woroszyńskiego.

Jeśli mowa o recytacjach, to nie sposób pominąć na użytek świetlic wierszy: „O rówieśnikach krótko”, „Ballada o czterech krosnach”, czy „List intymny”, które agitują i mobilizują.

„A to znaczy — gdy przy łokuju towarzysza z najwytrwalszej [kiedy towarzysza z najwytrwalszej [klasy, umiej oczu dwukropka nie cofnąć przed kieszonkowym plakatem [partyjnej legitymacji] („List intymny”).

Również „List Polaka, byłego uczestnika wojny domowej w Hiszpanii, do towarzysza w Paryżu”, ze względu na swe zalety treściowe i formalne, może i powinien być wykorzystany przez zespoły świet-

licowe. Prosta forma, wyraźnie, bez niedomówień sprecyzowana idea utworu i jego polityczna wymowa, mają poważne znaczenie społeczne.

Osobne omówienie należy się dwóm wierszom: „Poezja” i „O miłości gawęda chaotyczna” ze względu na temat, który podejmują. Temat to zdawało by się banalny. W ujęciu Woroszyńskiego, poety politycznego, świadomie walczącego słowem o socjalizm nabiera on nowych rumieńców. Nie ma tu zwykłych słów o księżycu, ni lez. Słowem mocnym, sugestywnym mobilizuje poeta do miłości innej, miłości, która nie ma nic wspólnego z „mieszkańską historią” przewrażliwionego samotnika, do miłości, która ogromnym uczuciem ogarnia nową, budującą się świat socjalizmu.

„Fakt, bywa, każdego odwiedza [karawaniarz wiecior w śliskim cylindrze melancholii. Ale z miłości? — u nas z miłości zwoluje się wiece, gdzie zebrani postanawiają lata wysiłkiem gonić”.

(„O miłości gawęda chaotyczna”). Nie znaczy to, by nie było miejsca w kraju zmierzającym do socjalizmu na zwykłą ludzką miłość do kobiety. Jednak i wówczas nie traci poeta z oczu jej społecznego i — politycznego uwarunkowania. Czytamy w „Poezji”:

„Znam inną — z zadymionej [Łodzi, córkę siwego metalowca. Łódź, jesień — oto moje tło dziś,

w które się wplata tamta, obca piosenką z moskiewskiego radia, notatką „Prawdy”, krótką myślą o tym poecie, który padł, abysmy kochać mogli dzisiaj. Odważnie, droga, kartę przewróć i pomyśl: dziwna rzecz — poezja która zaczyna się w tym miejscu gdzie los człowieka, czyn [żołnierza”.

Reasumując trzeba przyznać, że „Śmierci nie ma” W. Woroszyńskiego to pozycja wartościowa w naszej literaturze powojennej, mimo pewnych błędów formalnych. Tomik ten jest wartościowy przez swoje nowatorstwo treściowe, przez to, że Woroszyński jako jeden z pierwszych, manifestując postępową postawę próbuje powiązać swoją twórczość z walką tocząca przez twórców Polski Ludowej, że w tej walce angażuje się odważnie i bez reszty po stronie walczących o sprawiedliwość społeczną.

Ta postawa poety decyduje przede wszystkim o wartości jego poezji. I jakkolwiek ze względu na usterki formalne swoich niektórych wierszy nie może liczyć jeszcze na pełną popularność, zwłaszcza u czytelnika chłopskiego, to jednak przyznać trzeba, że jest na dobrej drodze. Usilną pracą nad doskonaleniem rzemiosła poetyckiego — poszerzy krag oddziaływania społecznego swej poezji, a tym samym — wobec słusznego i ideologicznego swego pisarstwa — uzbrowi klasę robotniczą, w silny oręż w walce o nową rzeczywistość. Młodemu, ambitnemu poecie życzyć tylko wypada powodzenia.

JAN MARSZAŁEK

A. F. KIRLO-NOWACZYK

(Łąka Mroczevska, p-ta Mroczeń)

RZYM, MIASTO ZAMKNIĘTE



Marian Brandys

Książka Mariana Brandysa „Spotkania włoskie” jest zbiorem reportaży napisanych podczas paromiesięcznego pobytu autora we Włoszech w r. 1949. Wysoka jej wartość literacka, świadcząca chlubnie o rzemiole pisarskim Brandysa, oraz wnikliwa obserwacja zjawisk zachodzących we Włoszech Gaspieriego — oto dwie znamienne cechy, które czynią „Spotkania włoskie” lekturą nader ciekawą i pouczającą.

Książka M. Brandysa nie przypomina w niczym modernych do niedawna stereotypowych „Pamiętników i wrażeń z podróży po Włoszech”, pisanych przez różnego autoramentu panie i panów, „pielgrzymujących” do kraju papieża, cyprysów i artystów. Zainteresowania M. Brandysa poszły drogą inną. Uwagę autora „Spotkań włoskich” zajął przede wszystkim człowiek — obywatel pobitego i

skrepowanego planem Marshalla kraju, człowiek z ulic Rzymu, Turynu i Neapolu, ze skalistej Sycylii, z jaskiń Monte Caprino, Monte di Pietà i Pietra Lata, „czerwonej” robotniczej Emilii, o której autor powiada: „Pola emiliańskie są puste, bo już od trzech dni trwa strajk powszechny robotników rolnych. W tych ubożuchnych na wpoł zrujnowanych barakach, które widać na horyzoncie — od trzech dni tysiące zdrowych, silnych mężczyzn czekają bezczynnie w ponturym zdenerwowaniu na wynik walki, w której stawką jest ich ostatnie rozprządzielne dobro: kawał suchego chleba i garść makaronu za przepracowany dzień roboczy... Jedynym przez „czerwoną” Emilię, zwaną także Emilią „krwawą”. Czyż nie tu karabinierzy zastrzelili wczoraj matkę dwójga dzieci, Marię Margottii?”.

Z bezpośredniej obserwacji autora niezwykle wyczułonej i odnajdującej łatwy i żywy kontakt z ludzmi powstała cała bogata galeria typów ludzkich ogromnie charakterystycznych na tle współczesnego życia Włoch, dławionych potrzebą i bezwzględna łapą amerykańskich mocoawców. Czujności autora nie uszedł żaden szczegół, któryby mniej lub więcej dosadnie nie odmalował niedoli proletariatu włoskiego. „Na Sycylii nędza tworzy banaitów — w Rzymie bieda tworzy przekupnych urzędników i tłumy żebraków”.

A oto wstrząsający w swoim realizmie opis Pietra Lata, osady robotniczej liczącej kilka tysięcy mieszkańców: „Z daleka wygląda jak czarne wymarłe pogorzelsko... Osada rozrzucona jest szeroko na nagiej łące piaszczystej, pozbawionej drzew i roślinności. Jej zrujnowane i szerniałe baraki mieszkalne podobne są raczej do chlewni i obór — niż do siedzib ludzkich... Małe okienka nie posiadają szyb i gdzieś tam zakryte są papierem gazetowym. Ledwie trzymające się na zawiasach drzwi odsłaniają ciemne wnętrza...”

Przed progiem jednego z baraków siedzi pczura, wyszła kobieta z niemowlęciem przy piersi... W Pietra Lata — o której zapomnieli Bóg i rząd — jedyną instancją jaka się liczy jest Partia Komunistyczna... Idziemy w stronę drogi okrążającej Pietra Lata od północy i naraz zatrzymujemy się otwierając usta ze zdumienia. Po drugiej stronie drogi jak szycerza fata morgana — na tle laurowego nieba rysuje się wyraziście wspaniale i najbardziej nowoczesne osiedle robotnicze — trzy wielkie szesciętrowe bloki z jasnego piaskowca polyskujące w słońcu wielkimi szymbami kien, otoczone ogrodami. — To nasze domy — mówi z ponurą ironią sekretarz (Partii Komunistycznej — przyp. mój) — domy dla mieszkańców Pietra Lata. Myśm je budowali i my mieliśmy w nich mieszkać. Skończyły się jednak na tym, że mieszkają w nich policjanci ze swymi rodzinami”.

— Od pewnego czasu (opowiada sekretarz — przyp. mój) Amerykanie zrobili sobie z Pietra Lata rozrywkową sensację. Przyjeżdżają tu ze swymi aparatami i włóczą się po chałupach robiąc zdjęcia”.

Trudno krótką wypowiedzią o książce M. Brandysa objąć chociażby w urzywkach to wszystko, co świadczy może o jej dokumentarnej wartości. Świat proletariatu włoskiego z jego przywódcą Palmiro Togliattim, ze słynną „mafia” sycylijską i jej nieuchwytnym „królem gó” Singlianim, ze sprzedawcą komunistycznej „Unity” Marco z Piazza del Popolo — to jedna strona medalu. Niemniej bogata jest galeria typów ludzkich „naszkicowana wprawna ręką pisarza ze świata średniej burżuazji i arystokracji włoskiej z jej zakłamaną moralnością i wiarą w zabobony.

„Położenie ludzi lewicwy we Włoszech staje się coraz cięższe” — stwierdza M. Brandys. A w innym miejscu „odczytuje naturalną syntezę moich reportaży włoskich. Brzmi ona: Rzym przestał być miastem otwartym... „Ale — w momencie symbolicznego pożegnania z Rzymem — mimo woli zadają sobie pytanie, czy naprawdę chciałbym w przyszłości zobaczyć jeszcze raz to wspaniałe miasto, w którym w czasie pięćmiesięcznego pobytu przeżyłem tyle samo chwil przykrych i przygnębiających, co jasnyc i podnoszących na duchu? I odpowiadam bez wahania: chciałbym zobaczyć jeszcze kiedyś Rzym — miasto otwarte. Rzym bez przepychu pałaców na Corso, bez Monte Caprino i bez Pietra Lata... Jestem najgłębiej przekonany, że w wyniku sprawiedliwej dyalektyki dziejów taki właśnie Rzym z czasem powstanie. Albowiem — tak samo jak moi włoscy przyjaciele, walczący o Rzym — miasto otwarte — należą do tych, którzy wierzą w możliwość lepszego urzędzenia świata.”

Tę wiarę autora podziela każdy świadomy czytelnik „Spotkań włoskich”.

A. E. KIRLO-NOWACZYK

W poprzednim numerze zamieściliśmy wypowiedzi o Broniewskim Kru- czkowskim, Borowskim, Konwickim i Zaleskim.

SEWERYN SKULSKI

(Karnkowo, p-ta Lipro)

HAMERA PRZYSZEDŁ W PORĘ



Bogdan Hamera

Na pierwszych stronkach powieści swojej Hamera mówi o uczuciach milionów dobrych Polaków w dniach zwycięstw bestii hitlerowskiej. Obrazując metody hitlerowskie, nie przypadkowo cytuje Hamera powiedzenie jednego z robotników, że gdy hitlerowcy pójdą na Moskwę, to ich zostanie tyle, że Hitler pod jedną gruszką policzy. W tym powiedzeniu była nie tylko nadzieja, ale i wiara nie tylko jednego robotnika, ale milionów robotników, robotnic, chłopów i chłopek. Hamera idąc śladami hitlerowskiego buta, widział jak swastyki na mapie posuwały się aż pod Leningrad i Stalingrad. Ale te swastyki pewnego dnia potknęły się i mapa z publicznego widoku znikła, a Hitler swoich fryców nie próbował nawet liczyć.

Blażę Plewa to bohater powieści Hamery pt. „Na przykład Plewa”. To szary fabryczny robotnik kochający pracę i miejsce pracy. Nie jest on świadomym, nie jest zatem komunistą, ale burżuazyjna „prawda” o Związku Radzieckim nie opanowuje go. W kuźni gdzie pracował, traci wielki palec, staje się niezdolnym do pracy. Z jaski dyrekcji fabryki należącej do belgijskich kapitalistów zostaje stróżem. Nie łączył się z żadną organizacją, w buclie stróża nocnego pozostał jeszcze bardziej osamotniony.

Ale Plewa jest dalej robotnikiem i choć wychowanie ma wczorajsze, jakaś jednak iskierka klasowości, choć jeszcze blada, na dzień jego ducha czai się. W przededniu ostatecznej klęski hitlerizmu, słyszy w mieście potężne wybuchy — to hitlerowcy wysadzają most, walą browar. Plewę pczyna przejmować los „jego” fabryki. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, przemycia się ulicami i zdąża ku fabryce, w której zna każdy próg, każdą ścianę i nawet każdą belkę. Okraża fabrykę, przelazł ogrodzenie w przekonananiu, że będzie bronił fabryki. Nie ma jednak planu jak ją będzie bronił i czem, ale zadowolony, że jest kolo niej, że chyba hitlerowcy o niej zapomnieli.

Plewa kochał fabrykę, ale to nie dowodzi, że kochał belgijskich ka-

pitalistów. On kochał to, co jutro miało być jego. Takiego kochania sam sobie z palca nie wyszło, ono szło od walczącej klasy robotniczej.

Ze Plewa pomagał w schowaniu dwóch motorów, to jeszcze nie dowodzi jego lojalności. Przecież w rozmowie próbnej przed ukryciem motorów z dwoma szabrownikami zdecydowanymi wrogami Związku Radzieckiego, ujawnił swoją sympatię ku Związkowi Radzieckiemu. Chwiejność w sprawie oddania fabryce motorów lub sprzedania ich, można tłumaczyć tym, że Plewa był wychowany przez system dorabiania się, a jeżeli już nie można się dorobić, to przynajmniej zapewnić sobie starość. Umiął jednak Plewa odróżnić mowę inżyniera Karwackiego od mów robotarzy, którzy z entuzjazmem postanowili podnieść swoją już fabrykę do stanu produkcji i to mu kazalo oddać fabryce motory. Idąc w ślady Plewy, inni uczynili to samo.

Historia Plewy to historia licznych Plewów, którzy stali się pomocą w podnoszeniu zrujnowanych i zwalonych fabryk. Plewa nie tylko sam siebie uczy, on uczy się od innych i innych uczy, zwycięża trudności i opanowuje ludzi swojego oddziału, gdzie zostaje majstrom. Ale nie lekko nie przychodzi i nie bez walki. Jest tu zasadnicza różnica — dawniej kazali i robiło się. Dziś, kiedy fabryka jest nasza, trzeba umieć poznać nie tylko pracę, ale ludzi przede wszystkim, więc potrzebami fabryki tak samo jak i jej radością i bólami.

Hamera umie nam powiedzieć jak o lepsze jutro, jak o Polskę przyszłości, Polskę szczęśliwego ludu walczyć należy. Walczyć to nie znaczy tylko forsować rzekę Bug, Wisłę, Odrę i Berlin zdobywać. Tak samo trzeba umieć walczyć przy maszynie i walczyć z bratem robotnikiem, obok przy następnej maszynie czy młocie... Strzelić do nieprzyjaciela na froncie łatwo, ale zabić w bracie robotniku nieświadomość, którą wykorzystuje ten sam wróg, do którego na froncie celujemy, czasem jest o wiele trudniej. Bo gdy Mikołajczyk powrócił do Polski, był on nie tylko w Warszawie, on był szwarzowany na każdą wieś, on był szwarzowany do każdego zakładu pracy. To Mikołajczyk włożył druty do motorów, które Plewa zwrócił swojej fabryce, ażeby motory zniszczył i wstrzymać produkcję w kuźni, gdzie był Plewa majstrom.

Hamera przyszedł w porę. Przed nami sześcioltni plan. Prezydent Rzeczypospolitej Bierut powiedział, że ten plan zaostrzy walkę klasową, a zaostrzy ją dlatego, że ten plan jest socjalizmem. Ten plan jest majstrom w kuźni kucia socjalizmu, tak samo jak był majstrom Plewa w swojej kuźni fabrycznej i tak samo ten majster — plan ma wrogów jak miał wrogów majster Plewa w osobie Niedzieli. Takich jak Niedziela, sześcioltni plan będzie miał wiele. W miarę zwycięzania naszego planu, w miarę czasu, tych Niedzieli będzie coraz mniej, ale wielu z nich pozostanie Jezuickimi, którzy będą usiłować spalać motory, druty w nie

wkładać i piasek w nie sypać, jak Jezuicki w kuźni Plewy.

Hamera przyda się nie tylko fabryce. Jest on potrzebny wsi także. Po ogłoszeniu planu sześcioltniego, czynny wróg klasowy strzyże uszami przed swoim wrogiem — socjalizmem jak koń nozą przed wilkiem. Ten wróg klasowy jest rano w mleczarni wiejskiej. Opuść kilka kapek mleka na podłogę, leżąc do miernika, pomyśl wtedy: — Nie rozlewaj mleka, bo to sześcioltni plan i załamiesz go. Tego wroga posłyszysz przy dniu targowym w mieście. Posłyszysz go w niedzielę przed kościołem wiejskim, posłyszysz go przed sklepem spółdzielczym i przy płocie wieczorem albo przy świecie. On nigdy nie powie głośno, że plan sześcioltni jest zły, ale przy każdej okazji wieszka zdęchle psy i koty na tym planie, czasem nawet niby niewinnym dowiepiem.

Do walki z tym wrogiem planu sześcioltniego potrzeba robotarstwa klasowego języka Hamery, bo to także język chłopski. Dlatego też ten język jest wartościowy i potrzebny, bo kuźnia sześcioltniego planu jest nie tylko fabryka, jest nią także każdy nasz chlew, każda obora, każdy ar naszej ziemi i każdy człowiek szczerze pracujący.

Hamera umie nam pokazać niby „zasadnicze” powody odmawiania dłuższych godzin pracy w fabryce Plewy. Nie każdy też będzie wrogiem planu sześcioltniego, kto różnymi, „zasadniczymi” powodami odmówi poświęcenia się w pracy dla zwycięskiego planu. Ale jak w fabryce Plewy, tak samo w naszej kuźni pomiędzy pracownikami kujaćmi ten plan będą Jezuicki, jak już dziś są pod mleczarnią na wsi, pod kościołem i przy dniu targowym, których trzeba będzie umieć poznawać i sens i cel drwinek rozumieć.

Tego nas uczy Hamera w swojej powieści „Na przykład Plewa”. Powieść kończy się zwycięstwem założą fabryki Plewy. Zwycięstwo to przyszło i w walce Plewy ze samym sobą. Hamera słusznie powiada, że aby zwyciężyć tyle, ile zwyciężyła załoga fabryki, trzeba wprawier wiedzieć o tym, że zwycięzca człowiek, którego trzeba umieć budować, aby zwyciężył.

No i cóż z tego, że Podburski wleża w usta łufą rewolweru arkusz papieru Nieglickiemu. Tu nie Podburski a Nieglicki jest zwycięzcą. Partia obiecała chleb załozde fabrycznej i dała ten chleb. Nic to, że krew z ust Nieglickiego cieknie, ale tak samo cieknie pierwszy spust stali z nowego pieca. Jak ta krew Nieglickiego, tak samo ta stal jednakowo budują Polskę.

Hamera przyszedł w porę. Potrzebny jest w walce o zwycięstwo planu sześcioltniego. Winien się znaleźć w każdej wiejskiej bibliotece, w każdej świetlicy. Bo jak dany chleb załozde fabrycznej pozwoili na pierwszy spust stali z nowego pieca, tak samo większa wydatność chleba z każdego hektara warunkuje zwycięstwo planu sześcioltniego.

SEWERYN SKULSKI

WALCZĄCA POEZJA AFRYKI*)

Mourou Ben Daouda

Życie nie jest marzeniem

Życie nie jest marzeniem, mój bracie,
Wszystko ci mówi o tym na każdym rogu ulicy:
Rozkolyśanie szczytów, zamykających horyzont,
Palka policjanta na twoim kręgosłupie
I laska „Komendanta”, wiszącego na polach fraka
Gubernatora, co chce stworzyć z Afryki więzienie,
Ogromną kostnicę, do której igrać
Przychodziliby i kruki i lisy,
Kobieta z aprowizacji, która w nos się nam śmieje,
Ty i twój głód, układający swe paczki kuponów
I handlujący, który bez powodu odmawia obsłużenia ciebie,
Kiedy w żył sklepiku przy spleśniałej mące,
Zamoczonym cukrze, będącym lepem dla milionów much,
Wszystko ci mówi o wale, mój bracie.
Woda skacząca w swoim wąskim łożu u podnóża
Złonych skał, które obmywa,
Rozkazuje ci dążyć stale, bez wytchnienia do Postępu,
Jak ona dąży stale w stronę oceanu.
Motyl, walczący o nektar z wojowniczą pszczołą,
Mówi ci: Życie nie jest marzeniem, mój bracie!
Gwiazda, która w codziennej wędrowce walczy z cumulesem,
Nakazuje ci zwalczać stale chmury,
Chmur: kłamstw egoizmu,
Chmury tchórzostwa i zdrady.
Wypełnij świat swym głosem, jak słońce wypełnia niebo
Światłem ogromnym i pomrukiem gromów...
I nie milcz nigdy: ani w kajdanach, ani też w niewoli.
Walcz namiętnie ze wszystkim o prawo do życia,
Czoło wysoko, bo jesteś człowiekiem, mój bracie!
Nawet gdybyś głowę kładła pod gilotynę,
Pluj jeszcze w twarz oprawcom!
Ten prztyczek przyszłych olbrzymów, okaże jutro
Twoje prawo do szczęścia,
T wą pogardę śmierci,
Nienawiść do niepotrzebnych okrucieństw i do głupich wojen,
Twoją wiarę w zwycięstwo człowieka nad mrokiem.
Niech twoja krew, tryskająca na nich,
Będzie tuniką Nessusa dla zwierząt ludzkości!
Jaskółka ze swej strony wzywa cię ku górze.
Idź, bo na szczytach gromadzi się siła,
Idź, bo na szczytach czujesz jeszcze bicie
Serca stworzeń w jednakowym rytmie,
Idź więc, by z jaskółką lepiej, piękniej śpiewać
O CZŁOWIEKU, POKOJU, WOLNOŚCI...
Idź wreszcie, by być huraganem dla niesprawiedliwych,
Idź zrywając za sobą kłamstw wielkie zasłony,
Aby na ziemi błysnął nareszcie dzień nowy,
Dzień, który lilii użyje całej swej białości,
Dzień, który dziecku przyniesie najpiękniejszy uśmiech,
A matce głos miłości, aby nim śpiewała Skarzę
na życie, na życie człowieka.
Życie nie jest marzeniem, mój bracie!
Walka jest jego prawem.
Budujmy wspólnie nowe miasto,
Ty, pochylony nad księgami i nad retortami
I ja z rydłem, w dłoniach na bagnistej ziemi,
Ty, ubrany w sukno, w wełnę, w bluzę
I ja w zwyczajnym drelichu, z nogami w drewniakach.
Myślmy o Afryce, która na nas czeka,
Myślmy o świecie, któremu tyle winniśmy!
Walczmy, mój bracie, bez wytchnienia,
Albowiem życie nie jest marzeniem!

Poeci murzyńscy nie piszą o swoich siostrach i kochankach: „panno o włosach koloru hebanu”, ale piszą: „panno o włosach koloru żaloby”. Taki jest nastrój życia w Afryce Zachodniej, gdzie panuje feudalizm, samowola francuskich urzędników kolonialnych i prawo, będące bezprawiem: ponury obraz „zachodniej cywilizacji” kapitalistycznej ludzi białych. Na 17 milionów ludności murzyńskiej w afrykańskich koloniach Francji jedynie 100 tysięcy osób ma możność korzystania z nauki szkolnej. Czołowych publicystów i poetów murzyńskich policja kolonialna szykanuje i przesładuje za to, iż chcą służyć swemu narodowi i społeczeństwu, a nie chcą być niewolnikami kapitalistycznych eksploratorów swej ziemi.

W ostatnich dniach grudnia ub. r., kiedy całe społeczeństwo naszego kraju reagowało żywym oburzeniem na przesładowanie emigrantów polskich przez rząd francuski, rząd ten odkrył się niemniej smutną sławą i hańbą w Afryce. Jak donosiła prasa polska, czołowi przywódcy R. D. A. (Réunion Démocratique Africain) rozpoczęli głodówkę na znak protestu przeciw bezprawnemu więzieniu ich przez reakcyjny rząd Bidaulta. Kilku postępowych działaczy afrykańskich odwieziono w b. ciężkim stanie do szpitala. Zapewnili oni Sekretarza Generalnego zrzeszenia Gabriela d'Arbousier, że będą walczyć do zwycięstwa. Celem tej walki jest zdobycie praw człowieka dla człowieka czarnego.

Walka ta trwa. W Grand Bassam na Wybrzeżu Kości Słonowej doszło do potężnych demonstracji antyfrancuskich. Tłumy robotników murzyńskich protestowały przeciw swojej nędzy i poniżeniu, domagając się uwolnienia uwięzionych przywódców i działaczy, między którymi są również i poeci, jak np. Bernard B. Dadie — autor wiersza „Ja to znam” — przebywający w więzieniu w Grand Bassam od dnia 8 lutego ub. r. w następstwie bezwstydnej prowokacji policyjnej.

Murzyńska poezja Afryki jest poezją walcząca. Współczując niedoli i ciężkiemu życiu ludzi czarnych, wzywa ich ona do wytrwania i do walki ze złem. Poeci afrykańscy w twórczości swojej związali się całkowicie z życiem swego społeczeństwa. Pełne melancholii i smutku, gorzkie pointy ich wierszy, połączone z namyślnym i rewolucyjnym dążeniem do postępu i szczęścia — całkowicie odtwarzają życie i pragnienia Murzynów afrykańskich. Humanitarna i szczerze ludzka treść tej poezji włącza ją do potężnego nurtu kultury ogólnoludzkiej, w której mieszczą się wszystkie sposoby oddziaływania myśli i czynów, charakteryzujące wspólnotę psychiczną ludzkości.

Wincenty Jędrkiewicz.



Pogromy rasistowskie w Południowej Afryce — policja, dr. Malana atakuje Murzyńców w Durba

Charles Traore Leroux

Nasza samotność

Jest późno i najłżejszy szmer
Nie ma ci ciszy mroku.
Co wnosi we mnie świat otaczający,
To źródło mego sereca, które drży.

W błotnistej wodzie
Sudanskiej granic
Odbija się zawsze twój obraz,
Rysowany gorzkimi zmarszczkami.

Tak! być może, że masz samotność,
Gdy przychodzisz zmącić mą samotność
I słyszysz głos twój
Nonszalantki, wieszczę afrykański:
„Cierp, ale zawsze kochaj!”

Żalony śpiew w północeniu,
Smutny śpiew na powierzchni czarnej rzeki,
Miarowy śpiew twój, wioślarczy z Baní
Ożywia oddech meloepa wspomnień.
Chór bezsilnej nędzy
Wyprężył się twym wysiłkiem, okazała statua bambara.
Wzrok twój z tamtej strony długiej, bambusowej żerdzi
Wyzuwał, nie wiem jaką, niepewną głęb gliny...

*) Z miesięcznika „Europe” z maja — czerwca 1949 r. Tłumaczył Wincenty Jędrkiewicz.

Bernard B. Dadie

Tak, ja to znam.

Ponieważ nie posiadam auta,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Ponieważ nie jestem właścicielem zamku,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Ponieważ nie mam swego konta w banku,
Nie jestem dla nich człowiekiem!

Ja to znam!

Ponieważ przy zdawaniu rachunków
Nie przynoszę nie prócz projektów,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Marny przedmiot, który przerzuca się z miejsca na miejsce,

Przeszkadzam!

Zdarte narzędzie, rzucone na chodniki
Z głodem w wnętrznościach i troskami w sercu —

Hamuję ruch!

Ścigają mnie, jak bandytę,
Moja nędza grozi ich fortunom.
Cała zgnilizna ich tajnych agentów
Wiszą na moich plecach, bo grożą ich kufrom,
Feodalizmowi, bankom, nienasyconemu i siłę,
Ponieważ żebrak, a brat ich w Chrystusie,
Doznają ich chrześcijańskiej łaski.

Ja to znam! ja to znam!

Ale noc oto idzie, ogromna noc przemian
I nieśmiertelni nikną pograżeni w cieniu,
Umierają, umierają w ostatnim blasku krzywdy,
Jutro tedy nastąpi dzień zmartwychwstania,
Dzień zmartwychwstania narodu,
Ujrzemionego świata,
Śpiew tryumfalny brudu, który żywi,

Radość ludzi złączonych ze sobą,
Wrzeszczący koncert zjednoczonych serc,
Jutro zwycięstwo człowieka
I śmiech szczęśliwych kontynentów.
Biali i żółci, Czerwoni i Czarni, odnalezieni bracia,

Tak!

Biali i żółci, Czerwoni i Czarni odnalezieni bracia,
Wspólnie skalpelem miłości
Przetną wrzód nędzy społecznej,
Pożbywszy się egoizmu,
By nigdy więcej jakaś 202 czy jakiś Merkury Height
Nie deptał już człowieka!

Człowieka który myśli!
Człowieka który cierpi!
Człowieka który kocha!
Człowieka który żyje!
Człowieka brata!

Louis Mody

Nadzieja

...Byłem uciskany
Od czasu, odkąd byłem czarny.
Targali mnie w błocie,
W kurzu i w krwi.
Bili mnie, pluli na mą postać
I chcieliby widzieć mnie leżącego
Aż u stóp drabiny.
Ale ja zmyję wszystkie te zniewagi,
Ponieważ jestem młody,
Jestem silny
I jestem CZARNY,
Tryskający światłem mej AFRYKI,
Która się budzi.
Ciężki i głęboki śpiew Dżun-dżungów
Powiedzie moje kroki.

STEFAN WILANOWSKI

PRAWDA O FORMOZIE

Na mocy traktatu w Shimoneki z 1895 r. Chiny zostały zmuszone do oddania Formozy Japonii. Gdy wieść o tym doszła do Formozy, wybuchło tam powstanie patriotów. Formoza ogłosiła się niezależnym państwem. Głową republiki Formozy został dotychczasowy gubernator chiński. Gdy wojska japońskie wylądowały na Formozie, gubernator uciekł, a na czele ruchu anty-japońskiego stanął Lu-Jun-Fu, jeden z przywódców ruchu „Czarnych flag”, który odznaczył się w walkach przeciw imperialistom francuskim w Annamie (dzisiejszym Viet-Namie).

Powstańcy chińscy bronili się przez 6 miesięcy, lecz w październiku 1895 r. Japończycy zdolali opanować wszystkie ważniejsze punkty wyspy. Ruch wywoleńczy jednak nie przestawał działać. Chińczycy dalej walczyli przeciw japońskiemu okupantom. W latach 1898—1902 Japończycy zabili 11.950 „buntowników”, z czego 2.998 skazanych zostało na śmierć przez sądy japońskich agresorów.

Ruch wywoleńczy, w latach 1912—1915, i powstanie w roku 1930-ym zostały krwawo stłumione przez Japończyków. Na Konferencji w Teheranie 1943 r. Alianci postanowili zwrócić po wojnie Formozę Chinom, co też nastąpiło we wrześniu 1945 r. Zdawałoby się, że wszystko jest jasne, i nie powinno być żadnych wątpliwości, co do tego, że Formoza jest terytorium bezspornie chińskim.

Było jasne, dopóki w Chinach rządził Chiang-Kai-Szek, i jego kuomintangowska klika. Potem poglądy zaczęły się gwałtownie zmieniać. Najpierw stwierdzono, że wyspa Formoza jest punktem strategicznym, który w żadnym razie nie powinien być bazą dla „komunistycznych wrogów” (Walter Lip-

man w „New York Herald Tribune”, 2.1.1950).

1 grudnia 1949 r. senator Smith w sprawozdaniu do Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych zaleca: by „Formoza była okupowana przez gen. Mac-Arthura dopóki nie zostanie zawarty traktat z Japonią”, zaznaczający, że generalissimus Chiang-Kai-Szek w rozmowie z nim wyraził zgodę na okupację Formozy przez wojska amerykańskie.

Początkowo zachowywano pozory. Na pomoc Chiangowi wysłano Japończyków. Rząd Yoshida, japońska marionetka Mac-Arthura, wysłał na Formozę w grudniu 1949 r. 4.000 specjalistów: japońskich lotników i marynarzy. Wobec zajętego przez USA stanowiska w czasie wojny, że Formoza nie jest terytorium japońskim, trudno dziś mówić coś wprost przeciwnego. Amerykańscy imperialiści sięgnęli do innego arsenału — oszukańczego przedstawiania sprawy narodowościowej na Formozie.

W 1938 r. było na Formozie 5.650.000 ludności (Japan Year Book, 1938). Przy czym Japończycy wykazywali wśród nich: 282 tysiące Japończyków i 59 tysięcy Chińczyków oraz 5.108.000 „miejscowych”. To była fałszowana statystyka japońska. „Miejscowi” — to Chińczycy, mówiący językiem chińskim w narzeczu Hakkas. Tej fałszywej japońskiej statystyki amerykańscy obłudnicy używają jako argumentu, że Formoza nie zamieszkuje Chińczycy, i że mieszkańcy Formozy to odrębny naród — Formozańcy.

Mac-Arthur stworzył specjalną organizację — Ruch dla niepodległości Tajwanu. Ruch ten rozwija swą działalność również w Hong-Kongu, gdzie go popierają Anglicy. „Studenti Tajwanu w Japonii” i „Liga dla nowego wyzwolenia Tajwanu” to amerykańsko-angiel-

skie organizacje dla fałszowania rzeczywistości na Formozie. Na czele tego „niepodległościowego” ruchu tajwańscy stoją dwaj bracia: Liao-Wen-Yi i Liao-Wen-Kouei, dwie amerykańskie marionetki. Kollaborowali oni z Japończykami, potem nagle stali się mężami zaufania Kuomintangu. Zdrajcy ci, którzy studia odbywali w Stanach Zjednoczonych, są związani z kapitałem amerykańskim, otrzymali monopol na sprzedaż benzyny amerykańskiej i robią wszystko, co im ich amerykańscy panowie kaza. Oni, „Studenti Tajwanu w Japonii” i „Liga dla nowego wyzwolenia Tajwanu” doma-

ją i względy narodowościowe w żadnym razie nie przemawiają za tym, by Formoza miała być częścią terytorium Chin. Ponadto, stwierdza pismo, Formoza ekonomicznie nie jest związana z Chinami, a raczej z Japonią. Szydło wychodzi z worka, gdy jest mowa o produkcji Formozy: Formoza produkuje rocznie 1.400.000 ton cukru, 11 milionów kg herbaty, 7 milionów ton ryżu, z którego konsumuje 1/3 część, a resztę wywozi. Formoza reprezentuje 95% światowej produkcji kamfory. Produkcja energii elektrycznej wynosi ponad 300 tysięcy kilowatów rocznie. Formoza posiada bogate złoża węgla, kopalnie



Pola ryżowe na Formozie

gają się „niepodległości Formozy” dla... Amerykanów.

Wynalazcami koncepcji „niepodległości dla Formozy” są Anglicy. Imperialiści angielscy mają więcej doświadczenia w takich „delikatnych” sprawach.

W tygodniku wychodzącym w Hong-Kongu „Far Eastern Economic Review” (6 kwietnia 1949 r.) ukazał się artykuł, w którym się stwierdza, że „Chińczycy są elementem obcym na Formozie”,

złota i miedzi w okręgach północnych, i naftę i gazy ziemne w centrum i na południu. „Nowoczesnych dróg na Formozie jest więcej niż w całym Chinach” stwierdza hongkońskie pismo angielskich imperialistów. Gdyby Formoza została przyłączona do Chińskiej Republiki Ludowej, to będzie koniec wyzysku. Trzeba więc zrobić wszystko, by „uratować” Formozę dla anglosaskich wyzyskiwaczy. Japończycy twierdzą, że Chińczycy na

Formozie to „nie Chińczycy”, to „miejscowi”, tak jak Białorusini pod Pińskiem nie byli Białorusinami tylko „miejscowymi-Poleszuckami”. Japońska koncepcja narodowościowa stała się dzisiaj wygodną dla anglosaskich imperialistów; dlaczego ją odrzucić? „Naród Formozy chce żyć w spokoju.” Dlatego trzeba stworzyć „Demokratyczną Republikę Formozy”. Jak ta „demokracja” na Formozie miałaby wyglądać, mamy doświadczenie z kolonialnych rządów Anglików i Amerykanów tak w przeszłości jak i obecnie.

Dopóki w Chinach rządził Kuomintang, ani Anglicy ani Amerykanie koncepcji niepodległej Formozy nie wysuwali. To było niepotrzebne. Amerykański lokaj — Chiang-Kai-Szek, oddał przecież zdradziecko swój kraj w niewolę USA. Dziś, gdy Formoza ma być zwrócona narodowi chińskiemu, szuka się wszelkich argumentów, by ten konieczny fakt opóźnić.

We końcu kwietnia 1950 r. „U. S. News and World Report” doniósł, że Chiang oficjalnie wezwał Stany Zjednoczone do okupacji Formozy. 22 maja br. wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Alben W. Barkley zapowiedział w mowie w New-Orleans „okupację dalszych krajów przez zbrojne siły amerykańskie”. Zapewne chodziło o Północną Koreę i Formozę. Dobrze poinformowany tygodnik „Time” (22.6.1950) zdradził, o co Barkleyowi chodziło, stwierdzając: „Formoza może być utrzymana i będzie utrzymywana”.

Formoza jest integralną częścią Ludowej Republiki Chińskiej. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że wojska Ludowej Republiki Chińskiej zlikwidują resztki kuomintangowskich wojsk Chianga i zajmą Formozę. Temu Amerykanie postanowili zapobiec. 27 czerwca 1950 r. dwa dni po napaści kliki Li-Syn-Mana na Północną Koreę, prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił, że „dał rozkaz 7-jej Flocie Amerykańskiej na Pacyfiku, by przeszkodziła każ-

demu atakowi na Formozę”. Prezydent obcego państwa, wbrew zawartym umowom (umowa w Kairo — 1943 r.) zbrojnie interweniuje w sprawę innego państwa!

Na Formozie został wybudowany szereg lotnisk, oczywiście nie w celach pokojowych.

Jak donosi „Far Eastern Economist Review” (Hong-Kong, 13 lipca 1950) w marcu br. rozpoczęły na Formozie pracę dwie nowe fabryki: największa na Dalekim Wschodzie fabryka papieru (celuloza) i Taiwan Steel Plant (stalownia). Czy w celach pokojowych?

Jeszcze w tej chwili nie ujawniło się, co jeszcze wymyśliły amerykańskie agresory, jakich argumentów użyją, by uzasadnić „obronę” Formozy. Czy cynicznie bronić będą „niepodległości” „Formozańców”, czy znajdują inne argumenty; czy będą działać pod skradzionym szyldem Organizacji Narodów Zjednoczonych, czy też w własnym imieniu.

Jak stwierdził to premier i minister spraw zagranicznych Ludowej Republiki Chińskiej, deklaracja Trumana w sprawie Formozy stanowi „zbrojną agresję przeciw terytorium Ludowej Republiki Chińskiej”; nie przeszkodzi ona jednak wyzwoleniu Formozy.

Za Mao-Tse-Tungiem i Czu-En-Laiem stoi cały naród chiński, zarówno na kontynencie azjatyckim, jak również na wyspie Formozie. Jak donosi Agencja Prasowa Nowych Chin (NCNA — Szanghaj, 11.7.1950) Demokratyczna Liga Samorządowa Formozy, organizacja masowa, reprezentująca szerokie masy ludności wyspy, ogłosiła, że „ludność Formozy opouje przeciw agresywnym aktom armii amerykańskiej, popiera bohaterską walkę koreańskich braci; lud Formozy walczyć będzie pod wodzą Centralnego Rządu Ludowego Chińskiej Republiki przeciw amerykańskiemu agresorowi i gangsterom Chiang-Kai-Szeka aż do ostatecznego zwycięstwa”.

Stefan Wilanowski.

ANDRZEJ OSTOJA

DROGA NA ŚWIAT

Jak daleko uziem sięgnąć pamięcią w przeszłość — zawsze widzę to samo: małe, zmurszałe chałupki pod szerniałymi strzechami; małe, zabiedzone koniki; małe, wychudłe krowiny — wszystko małe jak w jakiejś krainie krasnoludków — i ojciec mój, Wojciech Wasąg jest mały, i matka mała, i ja, Kacper Wasąg jestem mały. Gdzie spojrzę, to widzę niewysychające bagna lub piaszczyste polećka poroście cienkim zytkiem; rzadkie ziemniaki, liche jarzyny, robaczywe owoce. Na dwóch hektarach rodzina nie wyżyje, a od ziemniaków tylko brzuch puchną — ojciec donajmuje się do murarzy, do cieśli, do zwózków drzewa. Jak bieda przycisnie, to psy i koty łapie, ze skóry obdziera, na klusownictwo chodzi. Urodziło się nas jedenaścioro, ale wyżyło tylko pięcioro — reszta umarła, bo Bóg tak chciał, chociaż w istocie, to nędza ich wytlukła: gruźlica, angielska chrocha, ospa, wszy, głód, bród, ciemnota i niechlujstwo. Dzieci leczono zaklaniem, zamawianiem, okadzaniem, przykładaniem fajerek lub krowiego łajna. Nikt prawie nie umiał czytać, a ci, co kiedyś chodzili do szkoły i za młodych lat trochę umieli, z upływem czasu — zapominali. Wierzono w piekło, w złe duchy, czarownice, w liczne urojony, diabły i dusioliki. Książka lub gazeta do naszych stron nie docierała, a zresztą na nic by się nikomu nie zdaly. Co prawda w sąsiedniej wsi była trzódziatowa szkoła — wpływ jej jednak na nasz rozwój umysłowy był minimalny. Chodziliśmy po tej nauce wczesną wiosną i późną jesienią, a zimą siedzieliśmy po chałupach, gdy nie posiadaliśmy odzieży ani obuwia do wychodzenia. Do tego jeszcze stary Czarniecki nie umiał czytać — tłukł nas, gdzie popadło, godzinami kazał klęczeć pod tablicą i wiecznie był pijany. Pochodził podobno ze szlacheckiego rodu i dla chłopów miał tylko wstręt oraz pogardę.

Jan Maria Gisges

Naprzód chłopci pracujący!

Linia już wytyczona prowadzi w głąb gminy na znak pamięci o tych, którym nafta zbrzydła.

Wiatry wiążą drutami na żelazach masztu, bliżej białych obłoków jak przedknie jaskółki elektromonterzy niebiescy pogodą.

Twarde ręce spokane znające wysiłek są jak wiedza o jutrze. Więc łączą wieść z miastem.

Kiedy słońce wsunęło blask w śródek kominów, od wsi na nich naskoczył wrzask szarej gromady, który wkrótce ich obległ lepkiem błotem zwady — u stóp zamknął się pierścień błyskających widel. Wściekła ręka wroga nasława swych posłów, aby słupów nie stawiać na ziemi prywatnej.

Nogi mocne i pewne w robotniczym marszu, zeszyły pomiędzy twarze skrzywione od gniewu. Rękami silnymi, napiętymi jak zawieszane druty przyszło zdejmować żmudnie złóż z oczu nabiegłych krwią i z ust zgrzytających piaskiem nienawiści. Pięści. Błysk widel. Napór chłopów na krawędzi.

*

Ta noc była bezgwiezdna, wietrzna i ponura. Co raz to któraś buda zawyla psim głosem. W noc taką ludzie śladając na ławach zwykli wspominać zmarłych lub okropność wojny.

W tę noc drzwi zaskrzybiały złym, kąśliwym zgrzytem w ostatniej chwili, co się w jęk przetoplił kasztana na rozstaju. Zamknięta w milczeniu kobieta lisim krokiem pobiegła zapociem w czerwonej zapasce jak w ogniu swój cel kryjąc.

Tam gdzie leżały białe i zielone fajki, gniazda namiętynych pieśni wszystkich polnych ptaków, fajkom hutnik kształt dawał myśląc o postępie, tam, gdzie słupy i ziemia pachniały świeżością ledwie gdzieś zoranego wielkiego ugoru — pochylona kobieta o głowie bez twarzy ale znanym imieniu, motyką wytlukła szklano gniazdko powiązań uczucia ze światem.

— „Diabła nie kuście. W chałupie mi nie trza twego pomiotu, przekłęty zły duchu. Jeszcze burze, pioruny na wieś sprowadzicie razem z elektryką — miejskie komunisty!” —

Pomruk baby i brzęk szkła tluźzonego wleczę za sobą psie szczekanie w niewidoczne echo.

*

W tę noc bezgwiezdną, wietrzną i ponurą tam, gdzie przez wieś przeszła stopa elektryka — w sąsiedztwie poza lasem upojonym wiatrem — chłopka w siwnej włosów zaszyta głęboka, po Zorany Ugorze ciężkim palcem wodzi. Towarzyszu Szolochow — jestem u Was z wizytą.

Jan Maria Gisges.

oczach rezygnacja i cierpienie. Ojciec wchodzi pochylony i czapkę wieszka na gwoździu — twarz jego też sterana, zgorzkniała — tylko niebieskie oczy jeszcze nie straciły blasku i spoglądają przed siebie z jakąś naiwną nadzieją. Chciałby jakoś wybrnąć, jakoś wyptynać, jakoś dać radę — tak się trzępocze jak ryba w sieci — jest uczciwy, pracowity i zaradny... ale nic z tego: nikt naszej nędzy nie zmocze. Podłoga wysypana piaskiem — siedzę na tej podłodze i bawię się patykami — muchy ciemną chmurą zwisają nade mną... ach! muchy są wszędzie; na rękach moich, nogach i ustach; na szybach i na dźeniu; na suficie i na garnkach; wszystko popstrzone, rojące się, zakazane — wszystko ogarnięte jednostajnym, obrzydłym brzęczeniem. Ojciec siedzi na zydlu, bezmyślnie spogląda w przestrzeń, a ręce sięgają mu prawie do samej ziemi: spracowane, gruzłowate, czarne ręce. Pracy jego nie starcza na siedem osób (bo mam jeszcze czworo rodzeństwa) — nie ma co jeść, nie ma w co się ubrać, nie ma się za co kształcić — jak czarna mała na warcie pozostaje ten kawałek zaduch, to muchy, ta gorycz, ta bieda. W kącie stoi prymitywny stół garbarski; w wolnych chwilach ojciec na nim wyprawia skóry psie i kocie — do kwaśnego zaduchu w takich chwilach dochodzi jeszcze zaduch padliny.

Czasami, przeważnie w soboty, przychodzi do nas w odwiedzinę z miasta, brat ojca, stryjo Bartłomiej Wasąg. Tak samo wąsaty jak ojciec, tylko wąsy ma jeszcze dłuższe — i takie same ma niebieskie oczy, tylko może bardziej pochmurne, więcej twarde. Za młodych lat poszedł do miasta. Nie mógł znieść nędzy malorolnej. Pracuje w giserni przy odlewach żelaznych. Z miejska już się nosi i zegarek posiada srebrny, z błyszczącą dewizką.

— Rzućta wy to wszystko — powiada — sprzedajta. Pójdziecie do miasta; pracować będziecie jak ludzie i żyć jak ludzie. Na dwóch hektarach nie usiedzicie. Zjedzą was te piachy i błota, a dorobić też wiele nie dorobicie, bo jaka tutaj robota? Nie ma dla was ratunku!

Ojciec kiwa głową, ale nie może się zgodzić, bo jakże to? Ojciec ojca siedział na tej ziemi i dziać, a pradziad — tak było od wieków, a on jest przecież najstarszy. Pewnie z tysiąc lat już śledzą Wasągowie w tej Krasnej — teraz mieliby odejść? Następnie ojciec dobrze wie, jak to jest w mieście; dzisiaj masz prac — bo akurat po-

trzeba ludzi do fabryk lub na kolej; niech się skończy robota albo nie spodobać się jakiemu fabrykantowi lub jego rządcy i zaraz cię wyrzucą na zbity łeb, na ulicę. Tętaj jest nędza, wiadomo, ale jakiś ziemniak zawsze się jeszcze znajdzie, no i ten dach nad głową.

— To jest prawda — potwierdza stryjo po namyśle — chociaż już może długo tak nie będzie. My się teraz organizujemy, to znaczy zrzeszamy. Powstają związki zawodowe i z tego będzie wielka siła: wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. W razie jakby więcej nas wyzyskiwali albo jaką nową chcieli zrobić strajkowe, wtedy rzucamy pracę, strajkujemy i fabrykant, jak nie chce stracić, musi iść z nami na ugodę. Ma się rozumieć fabrykantowi są przeciwko nam i ich rząd jest przeciwko nam, policja i urzędy, ale my walczymy i będziemy walczyć! Nie jednego już zatukli, nie jeden gnije w kryminale, nie jeden też tuła się bez pracy — przyjdzie jednak taki dzień, że zwyciężymy!

— Daj Boże — mówi ojciec — daj Boże, ale nie wierzę.

— Dlaczego nie wierzysz?

— Za duża siła przeciwko wam: rząd, wojsko, policja, bogacze... nie strzymacie!

— Nie bój się — odpowiada stryjo — strzymamy... jak nie teraz, to za rok, za dwa, za trzy... nas jest więcej i my wiemy o co chodzi. Przyjdzie taki czas, że i wy do nas dołączycie; każdy, kto jest biedny i wyzyskiwany musi do nas dołączyć, a wtedy nikt nam nie da rady.

— Ja tam nie wiem — mruczy ojciec i drapie się w głowę.

— A ja wiem — twierdzi stryjo — dobrze wiem jak to jest, ale za to ty sam dobrze nie wiesz, kto ty jesteś — robotnik czy chłop? Z samej ziemi nie wyżyjesz, więc się wynajmujesz, gdzie popadnie: do murarzy, do cieśli, do drwali, do zwózków, do leśnictwa albo do dworu. Za twoje żytko płacą ci pare, groszy, a za pracę jeszcze mniej; kto tylko chce, to ciebie wyzyskuje, a dlaczego? — bo ty jesteś ciemny, bezbranny, nieorganizowany człowiek; nikt za tobą nie stoi i ty nie masz żadnej obrony ani siły — ale z czego ty żyjesz? Z pracy swoich rąk i ja też żyję z pracy swoich rąk. Kto ty jesteś? Chłop z Krasnej — Wojciech Wasąg, a kto ja jestem? Ja jestem twój brat — robotnik Bartłomiej Wasąg. Czy jest między nami jaka różnica? Jak myślisz?

— Ja tam nie widzę — pomrukuje ojciec i drapie się w głowę.

— Jak nie widział — dodaje stryjo — to znaczy, że nie ma; a jeżeli nie ma, to znaczy, że razem powinniśmy iść, jeden za drugiego walczyć i jeden drugiego wspierać. Nie ma różnicy czy ubogi chłop, czy ubogi robotnik i dlatego musi być między nami zrozumienie i — zjednoczenie!

— Ty idź i powiedz to tym... tam na kolonii — rzucza ojciec.

— Wiesz dobrze — stryjo uśmiechnął się sepeinnie — że do nich nie pójdę i nie będę z nimi gadał, bo by i tak mnie nie rozumieli, a jakby rozumieli, to w tej chwili polecą na policję z psikiem i doniosą, że ja tu pół jakiś zamierzam uczynić. Nasze połączenie nie wyszło by im na dobre. Bogaty biednego nie rozumie, tak samo jak styły głodnego. Oni żyją z wyzysku swoich parobków albo takich nędzarzy jak ty. Kto ma dwa hektary ziemi, ten nie będzie równy takiemu co ma ich trzydzieści — nie będą oni jednym głosem śpiewali!

Sobotni wieczór zmierzchał, a dwaj bracia rozmawiali ze sobą i naradzali się nad swoim życiem. Matka zapalała smrodliwą lampkę naftową i ustawiła przed nimi talerze z kapuśniakiem lub barszczem. Czasami również popijał wódkę, ale nie często to się zdarzało, gdyż nie mieli pociągu do kieliszka, a i pieniędzy im również na takie zbytki brakło.

Chociaż małym byłem w tych czasach chłopcem, uważnie tym rozmowom przysłuchiwałem się, nie wiele co prawda z tego rozumiejąc. Mgliście zdawałem już sobie jednak z tego sprawy, że ojciec jest człowiekiem słabym, zrezygnowanym, który pogodził się ze swoim losem i nie zamierza podjąć walki o lepsze życie, natomiast stryjo Bartłomiej wydawał mi się bardzo potężny i odważny. Rozumiełem już wtedy, że należymy do klasy biedaków. Byłem kilka razy z matką we dworze i widziałem tam przepychających pokojów; znałem również naszych wiejskich bogaczy. Mieszkałi oni obok naszej wioski na wzgórzu, gdzie ziemia była dobra, nie piaszczysta i nie podmokła. Mieli razem osiem gospodarstw w koloniacz — przy każdej kolonii był ładny ogród owocowy. Chodziłem z ich dziećmi do szkoły — tylko, że oni, dostatecznie ubrani, jeździli przeważnie wozem, a ja na pół nagi i bosy chłapałem po drodze, często tonąc po kolana w błocie; oni jedli mięso i pili kawę z cukrem, a ja kartofle i wodę; oni mieli na książki i zeszyty, a ja uczyłem się z pożyczanych książek i tylko jeden posiadałem zeszyt do wszystkiego. Historię bogactwa tych ludzi znałem dość dobrze, bo się o tym u nas mówiło. Taki Paliwoda był początkowo malorolnym i klepał biedę wraz z nami, aż mu umarł jakiś krewny w Ameryce i zapisał kupa-

dolarów — albo taki znów świstak zaczął swoją karierę od domokrący, dorobił się sklepika, a następnie karczmy. Można rzec, że on w głównej mierze rozpił ludność, a zwłaszcza młodzież naszej wioski; w jego karczmie legły się kłótnie, bójkę, rozprawy nożowe kończące się ranami, kalectwem, a nawet śmiercią. Puchł na „cwiartkach“, które mu wszyscy pijani znosili i na lichwiarskich zyskach z pożyczanych pieniędzy. Paliwoda był u nas sołtysiem, a reszta w przeważającej większości wchodziła w skład rady gminnej — rzadzili się też jak chcieli: wyznaczyli szarwarki, sprzeciwiali się wszelkiemu postępowi lub oświeceniu, ustanawiali ceny na produkty i prace, ostatnie grozcie i siły z ludzi wysysali. Nie było pomiędzy nami, a nimi żadnej łączności, pomocy ani zrozumienia. W miarę jak przybywało im wszystkim razem hektarów, krów, koni i władzy, to ubywało im serca i sumienia, aż wreszcie wytworzył się jakby front, na którym z jednej strony znajdowało się naszych pięćdziesięciu malorolnych reprezentujących około 200 hektarów — po drugiej stronie ośmiu bogaczy z blisko 300 ha ziemi; do tego trzeba dodać, że za nimi stała władza ze starostą i urzędem ziemskim na czele, gmina, policja, plebania, nawet częściowo nauczycielstwo — a za biedakami nikt nie stał.

Ja w tych czasach umiałem już jako tako czytać oraz ledwie co pisać, ale poza tym rosnem jak jaka roślina, jak ziele przy drodze —



nikt się mną nie zajmował i nikt o mnie nie dbał; matka zajęta gospodarstwem i młodszym rodzeństwem nie miała na to czasu ani zwyczajnie siły; była to kobieta niezwykłej dobroci, ale fizycznie słabowita, zawsze zapracowana ponad swoje możliwości. O ojcu nie ma co nawet mówić, bo harował od świtu do nocy, a jak powracał do domu, to na pół śpiący połykał swój barszcz z kartoflami i jak podcięty zapadał w sen. Co prawda zimą miał nieco więcej czasu, ale i wtedy pracował w lesie lub wyprawiał swoje skórki. Rzecz prosta w tym twardej ziemi nie było miejsca na normalne dzieciństwo. Nie pamiętam, abym kiedy miał czas na zabawy lub dokazywanie z chłopakami. Mając pięć lat już nazywałem młodszą o cztery lata siostrę, zbierałem chróst, paliłem w piecu, obieierałem kartofle, nosiłem wodę — po czym rozpoczęło się pasanie gęsi, a gdy trochę podrostem — krowy. Mógłbym nawet swoje lata dziecięce rozbić na dwa okresy: „geslowy“ i „krowiany“.

W okresie „geslowym“ wydaje mi się, że byłem jeszcze bardzo głupi i wcale nie umiałem myśleć. Świat przenikał do mojej głowy w postaci nleliczonych zdarzeń i obrazów, ale nie rozumiałem przyczyn i nie umiałem wnioskować. Na ogół zgadzałem się ze zdaniem starszych. Powiesił się stary Józwa; nawet widziałem jak go od sznura odcinali i zrobiło to na mnie wstrząsające wrażenie; spać po nocach nie mogłem. Powiadali, że na licytację miało iść jego gospodarstwo, bo zapożyczył się w świstaka i nie mógł oddać. Długo wiewniała na gruziłek cała rodzina Siewnych. Sparta kilka młoda Smoluchowa; postawili jej na brzuchu gorący garnek; cały brzuch wciągnęto do środka, no i umarła. Pokrajali się nozami Wicek z Jackiem, chociaż byli przyjaciele. Po pijanemu stodołę podpalił i byłby całą wioskę z dymem puścił. Ładna Józka od Lipców poszła na służbę do dworu śmigta jak ta topola, a powróciła do domu z brzuchem. Postawili się leśniczemu Grzankowie — ojciec z synem i policja nogi im potamała. Różnie o tych sprawach u nas mówiono; przeważnie powiadano: dopust Bóży. Bóg tak chciał, wola Boska. W głębi duszy nie bardzo mogłem się z tym pogodzić; wydawało mi się że Bóg nie może być zły, ale widąc dorośli lepiej to wiedzą ode mnie.

Łaziłem ze swoimi gestami po łąkach. Z jednej strony woda i z drugiej strony woda — tam Wisła, a tu San, ale nie widać, tylko bagna podchodzą pod samą wioskę. Niebo jest błękitne, szumią wierzby, szmerze woda w potoku. Pasała wtedy swoje gaski i Marysia od Paliwodów. Jeszcze wówczas nie dostali dolarów i nie byli takimi wielkimi bogaczami. Miała

szczipłą twarz, jasne włosy, oczy modre, wielkie jak talerze, cienkie ręce i nogi, opalone policzki. Jak jej nie było, to cknito mi się i chciałem zaraz wracać do domu, a jak była, to siadaliśmy obok siebie nad potokiem i milczeliśmy lub prowadziliśmy półgłosem urywane, oszczędne rozmowy. Później stopniowo z okresu „geslowego“ przechodziłem w okres „krowiany“ i był taki czas, gdy obydwa okresy zachodziły na siebie: w pasaniu gęsi zaczynała już mnie zastępować siostra, a ja zastępowałem matkę w pasaniu krowy. Wtedy też poczułem w sobie pierwsze zdziwienie i w głowie zaczęły powstawać pierwsze pytania: po co, czemu, dlaczego? Nie mogłem w żaden sposób pojąć jak to tak jest, że świat dzieli się na biednych i bogatych, a stąd dalej na szczęśliwych i nieszczęśliwych; na mądrych i głupich. Przecież jeden jest świat i dla wszystkich powinien być jednakowy? Czemu mi jesteśmy niedzarmami, a chłopcy z kolonii bogaczami? Czy rodzice moi nie pracują ponad siłę? Czy jest między nami jakaś inna różnica, prócz tej, że oni przypadkowo posiadają pieniądze, a my nie? Czy jest w tym jakaś ich własna zasługa, że jeden dostał dolary z Ameryki, drugi dorobił się na rozbojari i demoralizowaniu ludzi, trzeci umiał do ostatnich granic wyzyskać i wzyliwać swoją służbę, czwarty pożyczką i pożyczką na lichwę, piąty oszukiwał przy dostawach wieprzków do wojska,

tego nowego świata, ale trzeba po niej iść, bo kto stoi na miejscu, ten się cofa. Musi być zmieniony cały nasz ustrój, którym rządzą pieniądze i stąd wszelka władza skupia się w rękach ludzi bogatych lub ludzi będących na ich „usługach“. Trzeba obalić kapitalizm, który opiera się na wyższości biednych przez bogatych; na chciwości i egoizmie bogatych, a na to miejsce musi być wprowadzony socjalizm, który zniesie prywatne władanie narzędziami produkcji, a wprowadzi natomiast władanie społeczne; zaprowadzi równość praw i równy podział mienia i pracy. Walkę o nowy ustrój podjęli już robotnicy, podjęli ją proletariaty całego świata — trzeba jeszcze, aby do tego ruchu doszli bezrolni i malorolni chłopci, a wówczas wytworzy się wielka siła, która zniszczy niesprawiedliwość i wyzysk.

Nie wszystko zrozumiałem z tego co stryjo mówił, ale wydaje mi się, że odczułem wszystko całym sercem. Stryjo zresztą nieustannie powtarzał, że chłopcy i robotnicy to jedno — jakby dwie strony tego samego medalu — tyle tylko, że jedni pracują w fabrykach, a drudzy na roli; że mają wspólne interesy i wspólne cele, i że wcale nie tworzą żadnych odrębnych światów, tylko jeden ogólny i powszechny świat pracy, świat robotniczo-chłopski.

Ten okres „krowiany“, choć niedługi, był chyba najpiękniejszym okresem mego życia, a w każdym razie najbardziej pożytecznym. Stryjo często ze mną rozmawiał i przynosił mi różne książki oraz broszury; niektóre z nich miałem nakazane czytać pokrywko. Krasula nasza była bydlęciami spokojnym i do szkody nie laza, to też miałem dość spokojnego czasu na czytanie. Z początku walczyłem z wielkimi trudnościami, bo nawet czytać poprzednie nie umiałem i musiałem sylabizować, a już jeśli chodzi o trudniejsze zwroty, to w ogóle nic nie rozumiałem i zdarzało się, że płakałem ze złości. Powoli jednak nabierałem wprawy i w mojej puste głowie zaczynało się coraz bardziej rozwidniać. Dziwnym trafem pierwsza książka jaką mi stryjo dostarczył była historia Marysi i krasnoludków Marii Kononickiej z niekimi, barwnymi obrazkami. Sylabizowałem ją z zapartym tchem i z wyiekami na twarzy wścwinie z Marysią Paliwodówną. Na tej też książce nauczyliśmy się razem dość nymnie czytać. Później czytałem Sienkiewicza, Orzeszkową, Strugę, Prusa, Przybrowskiego, Gasierowskiego, Umieńskiego, Verne'ego, Reymonta, Londona. Po pewnym czasie czytanie nie sprawiało mi już trudności i wprost połykałem książki, czytając przy każdej sposobności. Dowiedziałem się z nich wiele o szerokim świecie i o ludziach. Dużo z tych książek przeczytałem wsołnie z Marysią, gdyż miała ona taki sam pociąg do czytania jak i ja.

Trwało tak ze dwa lata, aż kiedyś stryjo uznał, że jestem już wystarczająco odczytany i że mogę przejść na lekturę innego rodzaju — w ten sposób zapoznałem się nieco z historią, geografią, przyrodą, a nade wszystko z książkami i broszurami traktującymi o socjalizmie w oświetleniu samych Marksa i Engelsa oraz Kautsky'ego, Bebel, Plechanowa, Rózy Luxemburg i innych. Książki te i broszury były na ogół przystępnie pisane, więc wiele już sam mogłem zrozumieć, a inne rzeczy w miarę możliwości wyjaśniał mi stryjo Bartłomiej. Pojąłem już skąd wynika i na czym polega niesprawiedliwość ustroju kapitalistycznego, jak wiedziałem, że tylko solidarność światowego proletariatu może ludzi spod tego jarzma wyzwolić. Tak jak początkowo przy nauce czytania, tak teraz przy nauce socjalizmu, musiałem rzecz prosta pokonywać mnóstwo trudności wynikających z braku mojego przygotowania oraz z ciężkich warunków w jakich wiedzę swoją zdobywałem. Latem i w dni pogodnie nie miałem większego zmartwienia, gdyż zupełnie mi wystarczała byle trawa lub powalona wierzba nad strugą, natomiast w czasie niepogody lub w długie miesiące zimowe, czytałem, a raczej uczyłem się, gdzie się dało i kiedy się dało — o różnych porach dnia i nocy — w chałupie, na strychu, w stodole, w oborze. Szczęśliwie rodzice, pod wpływem niemałym stryja, nie przeszkadzali mi w tym zajęciu, jakkolwiek musiałem zawsze zrobić co do mnie należało. Dużo kłopotów pod tym względem przysparzało mi młodsze rodzeństwo, to też często wcale nie mogłem skupić myśli.

Kiedyś, a była to ostatnia Wielkanoc przed wybuchem wojny, odwiedziłem stryja w miasteczku i rozmawiałem z nim już prawie jak równy z równym; doskonale rozumiełem każdą jego mśl. A on mnie też dobrze rozumiał. Rwał się o pracę społeczną, do walki, do jakiegos czynu. Powiedziałem stryjo, że nie mogę dalej siedzieć tak beczynnie i zapytałem co jego zdaniem mógłbym uczynić dla socjalizmu? Stryjo długo podkręcał wąsa i spoglądał na mnie spod oka, wreszcie powiada: „Wszystko, co uczynisz dla dobra gromady, mój Kacperku, będzie drogą do socjalizmu“ — namyślał się chwilę i dodał: „Wszystko co podnosi życie gromady na wyższy stopień jest drogą do socjalizmu.“

Dalej mówił mi stryjo o tym, że ciężka i może daleka jest droga do

Andrzej Ostoja.

Nasze doświadczenia

JAN BORZECKI

U PROGU OFENSYWY

Jako uczestnicy kursu przygotowawczego na Wyższe Uczelnie łódzkie głęboko odczuliśmy słowa kol. Władysława Matwina. Uderzyły nas zwłaszcza następujące słowa referatu wygłoszonego na Plenum Rady Naczelnej ZMP: „Ze szczególną jednak wściekłością obóz reakcji broni swych pozycji na terenie szkół średnich, gdzie wróg próbuje przejść do kontrofensywy. Niezardkło udaje mu się zdobyć wpływ na oddzielne grupy młodzieży, a niektóre z nich zdemoralizować, ogłupić czadem reakcyjnego fanatyzmu i pchnąć przeciwko ludowi oraz jego władzy. Kontrofensywa reakcji przeciwko siłom socjalizmu i demokracji na terenie młodzieży przedstawia istotne niebezpieczeństwo”.

Na kursie przygotowuje się do studiów wyższych około 1000 młodzieży ZMP-owskiej. Przed kilku zaledwie miesiącami otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości. Dojrzałości — do czego? Takie pytanie postawiło sobie wielu spośród nas, już po kilku dniach uczeszczenia na wykłady. Z miejsca bowiem ujawniły się nie tylko braki ale nawet sprzeczności pomiędzy naszą gimnazjalną wiedzą a uniwersytecką, z którą obecnie zapoznujemy się.

Jest nas na kursie wychowanków tej samej prowincjonalnej szkoły średniej 5-ciu ZMP-owców. Wszyscy jesteśmy synami drobnorolnych chłopów, wszyscy zdaliśmy maturę bardzo dobrze, lub conajmniej dobrze. Zamierzamy poświęcić się pracy pedagogicznej, chcemy ukończyć polonistykę.

Nasi nauczyciele i wychowawcy w liceum byli bardzo szanowani w całym miasteczku. Uczą już od wielu lat, kilku nawet obchodziło niedawno jubileusz 25 lat pracy na „niwie szkolnej”. Nasi nauczyciele zajmują od lat przy nauczaniu niezmiennie stanowisko: „rzetelnego i pełnego obiektywizmu”. Bardzo nam się początkowo ta postawa podobała. Otrzymywaliśmy — jak wielu z nas sądziło — pełną, rzetelną i wszechstronną wiedzę. Każdy problem „nasświetlano” z rozmaitych punktów widzenia. Dla przykładu: wykładowca propedeutyki nauk społeczno-gospodarczych mówił przez szereg godzin na temat współczesnej polityki agrarnej. Dowiedzieliśmy się o dunskiej kooperacji rolniczej (powiedziane z uznaniem) fermerskiej kolonizacji w USA (potraktowane z dużą sympatią) kolchozów w Związku Radzieckim i PGR-ach w Polsce (zrelacjonowane chłodno — „obiektywnie”). Pamiętam jak dziś zakłopotanie tego wykładowcy: oto były najnowsze, współczesne koncepcje polityki agrarnej. Każdy rzetelny człowiek sam wybierze najlepszą z nich. Nie wybraliśmy żadnej, nie potrafiliśmy.

Wykładowca nauki o Polsce i świecie współczesnym był marksista. Wykazywał na wstrząsających fak-

tach, co oznaczało wkroczenie kapitalizmu na wieś. Zdawało się nam, że rozumiemy wreszcie istotę liberalno-kapitalistycznego uwłaszczenia. Ale nasza polonistka sprawiła, że znowu owiadano nami uczucie niepewności. Mówiło się długo na lekcjach literatury ojczyźnej o powieści chłopskiej końca XIX i początku XX stulecia. Podany przez nauczycielkę kontekst społeczno-gospodarczy dla tej literatury wyglądał mniej więcej tak: po długowiekowej niewoli pańszczyźnianej — pękły kajdany feudalizmu. Chłop odzyskał wolność osobistą, nadano mu na własność ziemię, którą tak bardzo i nade wszystko ukochał. Literatura nasza aż roi się od wymownych świadectw chłopskiego przywiązania do ziemi. Prosty ślimak nie oddaje ojcowizny, podczas gdy feudalna szlachta sprzedaje ją za judaszowe srebrniki, umiera polski chłop Boryna trzymając w słabych rękach garść własnej ziemi.

Nasz szkolny marksista wykazywał na przykładach gwałtownego procesu proletaryzacji, lichwy, wyzysku i masowych emigracji za chlebem, że kapitalizm wyrzucił z ziemi miliony ubożających chłopów. Nasza polonistka czarowała nas wizją chłopca — posiadacza, związanego nierozdzielnie z własnym skrawkiem ziemi. W rezultacie znaleźliśmy „różne punkty widzenia”. Wiedzieliśmy prawie wszystko, niczego jednak na pewno.

Jeżeli chodzi o mnie to bomba pękła przy maturze. Przedstawiciel czynnika społecznego zapytał mnie o sytuację społeczno-gospodarczą chłopów w schyłku XIX wieku. Mówiliśmy właśnie o powieściach Reymonta i Orkana. Odpowiedziałem, że to zależy z jakiego punktu widzenia spojrzymy na sprawę. Przytoczyłem następnie punkt widzenia polonistki i naszego jedynego w szkole marksisty — nauczyciela. Przedstawiciel czynnika społecznego oświadczył dyrektorowi, że w szkole panuje szkoldiwy, liberalny eklektyzm.

Dziś rozumiem, że miał rację. Nasi nauczyciele nie byli ani „rzetelni, ani obiektywni”. Po prostu liberałowie. A postawa liberalna ma swoje głębokie konsekwencje światopoglądowe, więc i polityczne. Wiedzieliśmy, że są rozmaite poglądy, czy „punkty widzenia” na określone sprawy, naucono nas, że poglądy te za sprawą wielkich ludzi zmieniają się. Lecz kierunku tych zmian przewidzieć nie podoba. Podmiotem działającym jest człowiek a człowiek to istota nieznana (historia).

To prawda, że wszystko się zmienia, ale prawdą jest również, że są i działają prawa rozwoju. Wskazywał na nie młody marksista. Czynniki to nie miało, bał się popaść w konflikt z jubilatami, pracującymi ponad 25 lat na „niwie szkolnej”. Sam rozpoczął pracę pedagogiczną dopiero w 1948 roku. Kwalifikacje nauczycielskie otrzymał już w Polsce

z. Nasz chór odśpiewał za każdym razem pieśni, dawaliśmy odczyty, i owszem — sala zawsze była nabitą tylko zetempowcami, ale i chłopami. Przyjmowano nas serdecznie, nawet „oczekiwano z niecierpliwością”, jak nas chłopcy zapewniali. Byliśmy zadowoleni, przyjeżdżaliśmy do siebie, do fabryki ze śpiewem. Ale gdzieś pod koniec marca, kiedy byliśmy we wsi coś już z 4 razy sekretarz podstawowej organizacji partyjnej PZPR przy fabryce zapytał nas — a dlaczego to nie widzieliśmy w fabryce naszych wiejskich gości? Zrobili nam się trochę nieprzyjemnie. Jakby ktoś zepsuł nam jakiś ładny obraz.

Jakże to, przecież zapraszaliśmy za każdym razem naszych kolegów, ale jakoś nie zwracaliśmy uwagi na fakt, że do nas jeszcze nie zawitali. Owszem, cieszył nas za każdym razem nasz wyjazd do wsi, cieszyły nas nasze występy, ale dopiero po uwadze sekretarza partyjnego stwierdziliśmy, że coś jest jednak nie w porządku i że nasze wizyty nie dają tych wyników, jakich należało by się spodziewać.

Następnym razem zaczęliśmy analizować sytuację. Zeszliśmy z estrady trochę niżej, pomiędzy kolegów zetempowskich. Jedno, drugie, trzecie pytanie, gruntowna obserwacja i oto okazało się, że byliśmy dotychczas ślepi: zarząd ZMP był w rękach kulaków lub ich sympatyków! Koledzy chcieli przyjechać do nas, ale zawsze znaleźiono pretekst, by odsunąć tę wizytę. Dopiero od tej chwili zaczęła się nasza prawdziwa współpraca! Na terenie koła rozpoczęła się walka, prawdziwa walka klasowa o eliminację wrogich elementów z ZMP i myśmy, tzn. robotnicy i biedni i średniorolna młodzież te walkę wygrali. Koło ZMP już gościło u nas dwa razy, a my te współpracę pogłębiały i poszerzały.

Przykład ten potwierdza, jak słuszne jest stanowisko Rady Naczelnej ZMP, która zwróciła uwagę na konieczność zacieśnienia więzów organizacyjnych bardziej doświadczonych kół z kołami stawiającymi w pracy dopiero pierwsze kroki.

Jadwiga Wierzejska

Ludowej. Dziś odgrzebujemy podawaną przez niego wiedzę jak najcenniejszy skarb.

Liberalizm naszej placówki nauczania objawiał się również w społeczno-organizacyjnym życiu młodzieży. Nasza szkoła — jak wiele innych — posiadała szereg kółek naukowych: polonistyczne, historyczne, przyrodnicze, języków obcych i marksistowskie. Polonisci specjalizowali się pod okiem nauczycielki w „odczuwaniu i przeżywaniu” piękna literatury. A przecież być kulturalnym to znaczy nie tylko odczuwać, przeżywać emocjonalnie, lecz także i przede wszystkim rozumieć związki pisarza z formacją społeczno-gospodarczą. Dzieło literackie jest zawsze klasowym odbiciem rzeczywistości. Historycy doskonalili się w rozmaitych poglądach na dzieje. Marksistowska teoria rozwoju społecznego była również dyskutowana na zebraniach, ale nie jako jedynie prawdziwa, lecz tylko jako jedna z wielu. Podobnie ustosunkowywali się członkowie kółka przyrodniczego do prac Miczurina i Lysenki.

W rezultacie, nawet wśród nas ZMP-owców, urobiło się przekonanie, że nie ma różnic klasowych pomiędzy młodzieżą szkolną, nie może być walki klasowej w ramach szkolnej społeczności. Mogą istnieć natomiast a nawet są wskazane — różnice punktów widzenia, których dyskutowanie poszerza znacznie horyzonty myślenia i bogaci wewnętrznie człowieka.

WŁADYSŁAW DRABIK

PIERWSZA PRÓBA SAMOKRYTYKI

Przewodniczący Zarządu Głównego ZMP, kol. Władysław Matwin, wezwał nas ZMP-owców, pracujących w kołach terenowych do gruntownej i rzeczowej samokrytyki. Samokrytyka, rozumiana jako dokładna analiza braków i osiągnięć naszej pracy, powinna zmobilizować w rezultacie aktywność do lepszej i wydajniejszej pracy.

Nie ze wszystkim jest przecież w wiejskich kołach ZMP dobrze.

Czynię pierwszą w moim życiu próbę oceny sytuacji w mojej rodzinnej wsi, chcę wykazać, na czym polegają nasze niedociągnięcia, jakich należy dokonać reform w pracy.

W mojej wsi istnieje koło ZMP, którego jestem członkiem, lecz działa ono bardzo niesprawnie, ponieważ brak jest odpowiednich sił do wychowywania ideologicznego i kulturalnego młodzieży koła, tak jak i członkowie, nie posiada należytego przygotowania naukowego. Dlatego to młodzież w naszej wsi jest bardzo słabo zorientowana w życiu politycznym i społecznym Polski Ludowej, nie mówiąc już o zagadnieniach międzynarodowej polityki. A przecież dokładna znajomość polityki pokojowej naszego obozu, któremu przewodzi Związek Radziecki, znajomość współczesnych metod działania imperializmu — jest konieczna. Wiem, jak chyba nigdy dotąd, żyje wydarzeniami politycznymi, ale nie zawsze dobrze rozumiem, dlaczego imperializm zawsze przynosi ze sobą nędzę mas chłopskich. Chłopi myślą bardzo często, że w państwach gdzie jest duży kapitał, na wsi nie może być źle.

Trzeba dokształcać na odpowiednich kursach członków koła, wciągnąć do pracy jak największą ilość członków, w tym i nasze koleżanki. Trzeba stanowczo sprowadzić biblioteczkę świetlicową, której brak daje się bardzo odczuwać, trzeba zachęcić młodzież do czytania książek, ponieważ większość młodzieży, szczególnie chłopców, za mało interesuje się książkami. Następnie trzeba prowadzić w sposób stały świetlicę, wystawiać różne imprezy, uprawiać sport i inne rozrywki w formie zorganizowanej — trzeba pokazać chłopom prawdziwe oblicze ZMP i wyświecić, jak fałszywe są argumenty podszeptywane im przez reakcję o naszej organizacji.

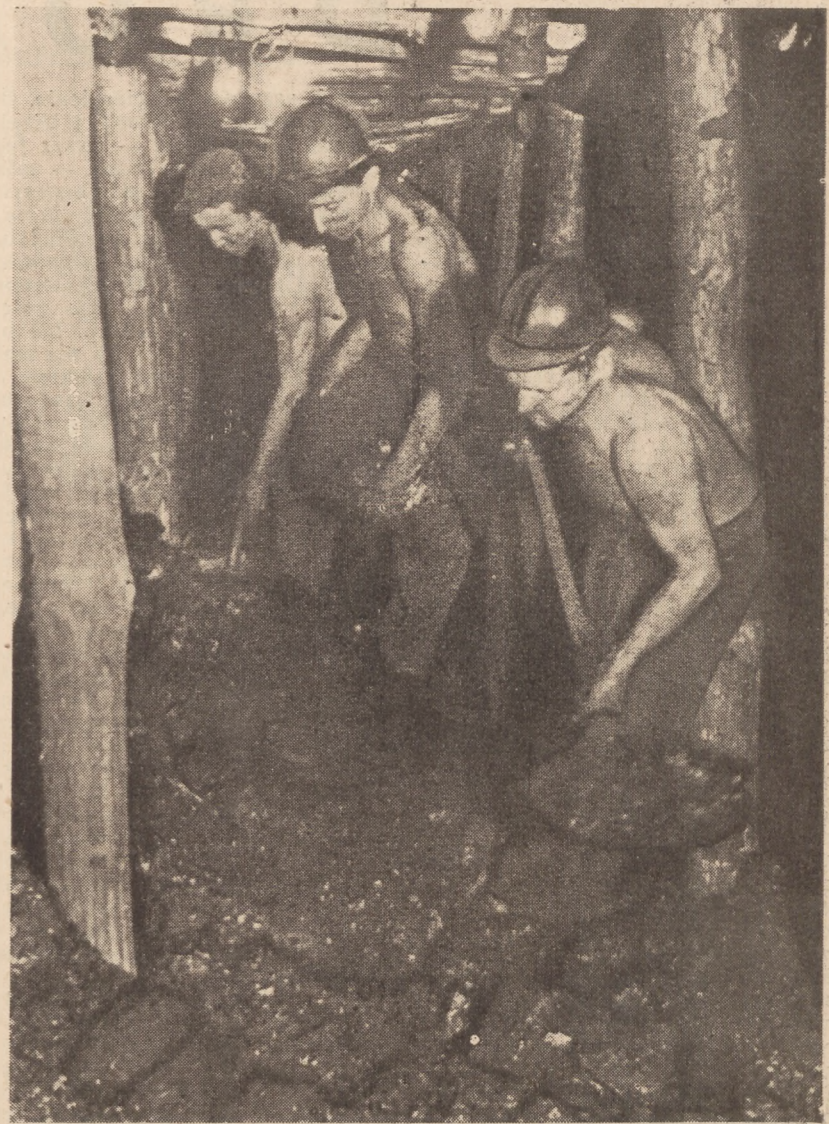
Dalsza ważna kwestia, to sprawa alfabetów. Z bólem muszę przyznać, że jeszcze członkowie naszej organizacji ZMP, którzy piszą z trudem i były wypadki, że gdy trzeba było podpisać deklarację lub legitymację, to dany członek zawstydzony, pod jakimś pozorem szedł w kąt, aby nie patrzano mu na ręce, gdy pisał niezgrabnie swoje nazwisko. Stan ten trzeba koniecznie zmienić, bo w innym razie nie może być mowy o szerzeniu postępu na wsi. W tym celu trzeba zorganizować wieczorowy kurs dokształcający dla półanalfabetów, których we wsi także jest dużo. Zdolniejszych, posiadających przynajmniej 6 klas szkoły powszechnej, trzeba zachęcić do nauki czy to drogą kore-

W ten sposób przygotowano nas do wejścia na Wyższe Uczelnie, w pełne życie społeczno-polityczne. Zbieramy dziś trochę gorzkie owoce takiej edukacji. Idziemy, unosząc w głowach „obfitość rzeczy”, w Polskę zmierzającą do socjalizmu, gdzie nie może być mowy o rozmaitych „punktach widzenia”. Jest jedna tylko prawda — dialektyczny bieg dziejów, głęboka nauka o procesie rozpadu społeczeństw klasowych i formowaniu się w walce — bezklasowych. Musimy odrabiać załogłości.

Nasze doświadczenia powinni wykorzystywać wszyscy ZMP-owcy, pozostający w średnich szkołach. Za uśmiechniętymi twarzami „pocziwych staruszków” krył się nieraz wróg klasowy, który podważał naszą wiarę w naukowy pogląd na świat.

Zawiniłymi i my. Nie docenialiśmy szkolenia ideologicznego w kole ZMP i kółku marksistowskim. Mocne słowa przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej — kol. Matwina wskazują jednak wyraźnie na to, że nasz związek rusza do generalnej ofensywy w szkołach średnich przeciwko liberalizmowi w nauczaniu, przeciw wszelkim wrogom klasowym, rusza do walki o jednoznaczny, naukowy pogląd na świat — marksizm-leninizm. Hasło rzucone w samą porę, zbliża się bowiem nowy rok szkolny.

Jan Borzęcki



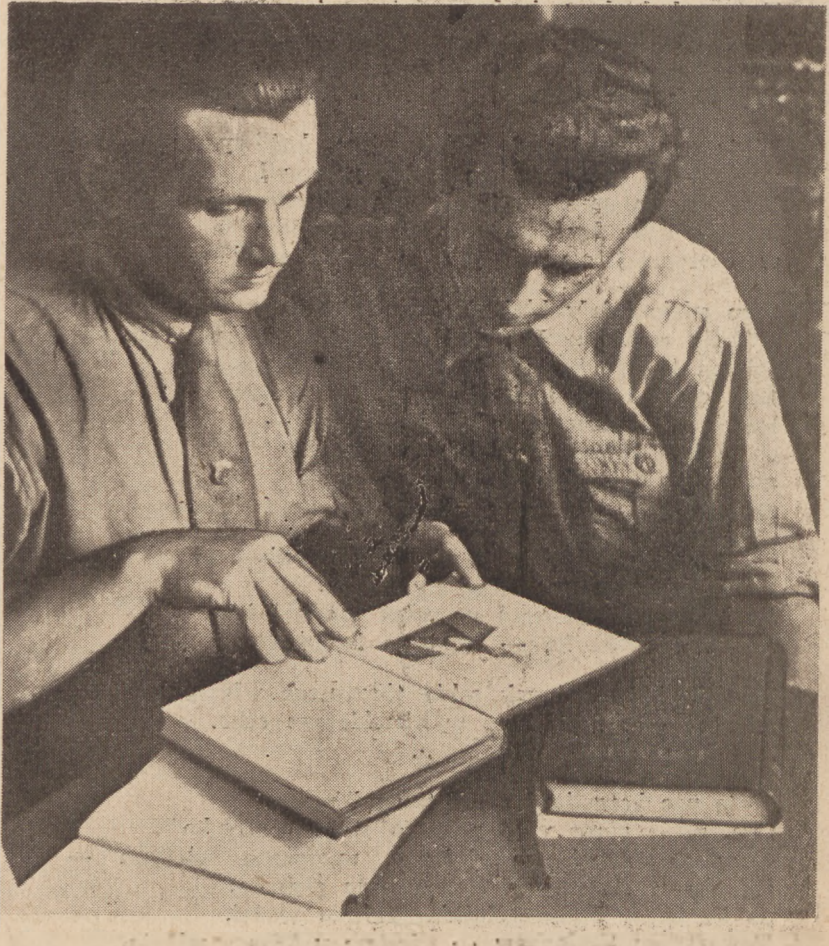
Sciana młodzieżowa brygady ZMP w kopalni Makoszy.



January 18 Brygady SP przy budowie autostrady Gdynia—Gdańsk.



Młodzież w Ośrodku Szkolenia Zawodowego.



Z domu społeczno-szkoleniowego ZAMP.

W poprzednim numerze

W numerze nr 32 (263) z dnia 13.VIII 1950 r. Tygodnika „Wieś”

Hieronim Michalski — Komunikat z pierwszej linii walki. Władysław Broniewski — Łódź i Pokłon Rewolucji Październikowej. Mieczysław Jastrun — Etapy rozwoju. Maria Janion — Mickiewicz żywy. Leon Kruczkowski — Droga do „Niemców”. Marcelina Grabowska — Z notatnika z fabryki. Michał Rękas — Miliony od abecadła do kultury. Tadeusz Ostrowski — Brygadziśka z PGR Skarbimierz. Marian Piątek — Racjonalizator z PGR Andrychów. Przewoźny Janusz — Kadry dla świetlic. Wanecki Lucjan — 22 lipca w Bielicach. Marek Pieczyński — Młoda Polska w „Dzienniku Literackim”. Jerzy Hłond — Poeta bliski ludowi. Eleonora Dalin — Dwa oblicza wieku. Jan Marszałek — Książka, która mobilizuje. Stanisław Mikulski — Czego mnie nauczyły „Niemcy”. Ludwik Mlot — Traktory zdobyła wiosnę. Kurt Hager — Lenin a niemiecki ruch robotniczy. Leszek Bakula — Obrazek pokoju. Nazim Hikmet — Książka w okładce ze skóry i Wierzbą płaczącą. Jan Reichman — „Bizim Koy” — książka o nędzy wsi tureckiej. Siergiej Jurin — Wieczory w świetlicy wsi Diegtianka. Marian Listowski — Gdy powrócili z wycieczki do ZSRR. Jacek Trznadel — Stepowe słońce. Rysunki i zdjęcia

LESZEK GOLIŃSKI

KOGUTY PIEJĄ O ŚWICIE

Dobrze się stało, że włączono do naszego repertuaru teatralnego sztukę litewskiego pisarza Bałtuszisa „Pieją koguty”. Autor potrafił w niej obnażyć potworność i brzydotę tej moralności, jaką we wczesniejszej wsi litewskiej rozdziła stonka kapitalistyczna. Sztuka ukazuje całą ohydę kulackiej chciwości i wyzysku, pokazuje nędzę i bezbronność w systemie kapitalistycznym biedoty wiejskiej, ale ukazuje również perspektywę walki, którą wyzyskiwani podejmują przeciwko wyzyskującym.

Rukienie, bogata chłopka z Litwy północnej, przez całe swoje życie ciuła pieniądze, stając się one dla niej haszyszem i jedynym celem życia. Rukienie ma jednak syna i córkę, i jeśli córka po jej myśli wychodzi za mąż za syna bogacza wiejskiego — Powiłas, syn Jonas rozkocha się w Marytce, córce małocznego chłopca Biażysa. Małżeństwo na wsi, a szczególnie w domu Rukienie jest czystą transakcją finansową; ponieważ Rukienie musi wypłacić posag Powiłasowi za córkę Onulię — żąda takiej samej sumy od Biażysa i tylko od tego uzależnia wydanie zgody na lub Jonasz z Marytką.

że zasiądzie za stołem prezydyjnym albo za kierownicą traktora...

Znacznie mocniej (jak to się zwykle dzieje) przedstawił Bałtuszis w swojej sztuce sylwetki negatywne. Rukienie — to wielona diablica, baba zła i zawzięta, gotowa własnego syna zabić dla pieniędzy. Łącząc się w niej najpodlejsze cechy ciemnego, chciwego i chytrego chłopca-bogacza.

Powiłas, jej zięć i sprzymierzeniec, to fanfaron wiejski, pyszałek i zawalidraga, któremu się zdaje, że posiadane pieniądze upoważniają go do pomiatania innymi ludźmi. Powiłas ma jednak więcej sprytu od swojej teściowej, umie obejść paragraf i przekupić świadków. Jest od niej groźniejszy. Jest układniejszy, jeszcze bardziej fałszywy i chytry.

Inni — błąkający się między tymi dwoma obozami, to ludzie nieświadomi, nie znający jeszcze swojej drogi ani jej celu. Dopiero w epilogu dramatu znajdują oni swoje miejsce i okazuje się, że są tylko dwie siły, dwa obozy, działające na wsi, gdzie walka klasowa występuje w całej ostrości.

Józef Bałtuszis jest pisarzem dużej miary. Skomponował on swój

Artykuł M. Rękasa „Od abecadła do kultury” *) nie tylko zwraca uwagę na bardzo ważną sprawę upowszechniania kultury, ale również wysuwa projekt, którego szkic wart jest pogłębienia w szerokiej dyskusji. Rękasa bardzo słusznie kładzie znak równości między byłymi analfabetami (dziś abiturientami kursów) a pozostałą ludnością wiejską w wieku poza młodzieżowym.

I wyciąga poprawny wniosek: jeżeli pragniemy nadal opiekować się byłymi analfabetami, jeżeli chcemy przeprowadzić ich przez kursy dobrego czytania to... uczynimy identycznie z wszystkimi pozostałymi (praktycznie po paru w przeszłości klasach szkoły powszechnej). To znaczy dojrzymy wśród legjonu pozostałych tę samą potrzebę i tę samą konieczność wprowadzenia ich w kulturę i zaprawienia w obcowanie z nią i współtworzenia jej. Tak stoi zagadnienie: SZEROKO, MASOWO, Powszechnie.

Kursy dla analfabetów stworzyły nowy rodzaj bazy społecznej dla udzierających się w oświatę. Przebieg kursów i rezultaty ukazały nam, że w swoim elementarnym zakresie objęły kursy bazę istotnie tej elementarnej wiedzy pozabawionych a potrzebujących. W bazie tej klasowo przeważa biedota, że instruktorzy i nauczyciele przelamali niewiarę i wstyd, że rezultaty wyraziły się w spontanicznym parciu masowym abiturientów do kursów wyższych, właśnie wprowadzających w SZTUKĘ ODCZYTYWANIA I ROZUMIENIA KULTURY. Tego nas nauczyła to-

czona od miesięcy walka z analfabetyzmem!

Byli analfabeci upewniają nas, że w tej strefie wyposażenia kulturalnego jest nowy, wyższy, szerszy głód kultury. A to jest streja na wsi powszechna. Jesteśmy dlatego wezwani do drugiej — KULTURALNEJ AKCJI POWSZECHNEJ!

W niej zbiega się kilka nierozwiązanych dotąd a nawet częściowo opuszczonych problemów.

Do takich należy sprawa świetlic wiejskich. Cyfry rejestracyjne są kilkakrotnie większe od realnie funkcjonujących świetlic, ale jedne i drugie są niepokojąco za małe.

Cóż o tych rodzajach możemy powiedzieć? Jaką odegrały rolę? Oczywiście, nie małą. Wystarczy przypomnieć festiwal sztuk radzieckich, który stanowi na wsi polskiej w jej półwiekowej tradycji teatralnej przełom i artystyczny i ideologiczny. Gdzie mógł się dokonać? W tych „rodzinkowych” zespołach (przyswieńskich, przyszkolnych), gdzie właśnie OCZYTYWANIE GRUPY, szersze i ideologicznie silniejsze zainteresowanie GRUPY stworzyły warunki do przyjęcia sztuk radzieckich, jak objawienia, jak wyzwolenia prawdziwie twórczych, nowych sił u młodych i starych amatorów. Wyjazdy zespołów konkursowych do powiatu i województwa wzmogły falę zainteresowań, zaszczytliwie pragnienia nowych gustów a przez nie nowej mocy w walce klasowej na wsi. Ale akcji festiwalowej zabrakło dostatecznie potężnego zaplecza, tzn. zaplecza w każdej wsi zespołów czytelnianych,

dyskutowanych i pogłębionych w problematyce literatury. One wyłoniłyby nowe zespoły teatralne, one rozwinęłyby organizacyjnie i utrwaliły na terenie festiwalowy postępek.

Wiemy również o wielu zespołach stałych i przejściowych, które dążyły do repertuaru ludomajskiego, konserwatywnego, „sztokholmskiego”. Te dzikie akcje odczytawcze i wspierają się o doradców reakcyjnych, co najmniej starszo-wiekich i są przez nich powoływane do życia. Toczy się walka. W zaściankach kręgiach — to widać wyraźnie.

Sięgnijmy po inne przykłady. Mamymy również „rodzinkowe” czytelnictwo. Jest parę tysięcy chłopów, którzy dziś już gonią nowości. Ledwie wyszły „Traktory” Zaleskiego już żeśdzili po nie do miasta. Uczniowie ze szkół podstawowych pisali do nas listy, jakby te książki dostać. Parę tysięcy chłopów jest dziś w stanie po przeczytaniu książki dosłownie w kilka godzin napisać recenzję, która może zadziwić i powinna zastanowić krytyków.

To są wszystkie osiągnięcia jeszcze „na dziko”. Wytłumaczenie, wybitne w tysiącach, ale przecież my nie możemy tracić z oczu podstawy masowej i związku z tą podstawą.

Trzeba powiedzieć o traktorach, które orają głębiej, o masowych pismach! Setki tysięcy chłopów czytało w odcinkach „Chłopskiej Drogi”, „Gromady”, „Rolnika” powieści radzieckie. Kiedy w nowych, stałych kinach gminnych oglądają — nieraz pierwszy raz w życiu — film radziecki, takiego np. „Prawdziwego człowieka”. Polewoja nie upadają w oszołomienie, rozumieją odrazu, jasno i unikiwnie, czytali. Taka wieś po seansie, taki zespół PGR-u pod kinem, pod gwiazdami wczesną spontaniczną dyskusję, której brak oparcia organizacyjnego i tradycji instytucjonalnej.

Z tego, co przytoczone, wynika jasno, że stajemy w obliczu konieczności podjęcia wielkiej, powszechnej akcji kulturalnej. Zawiera się ona w projekcie Rękasa, o kursach (na każdej wsi!) dobrego czytania.

Ta akcja masowa powinna WSPOMÓC, a często dopiero POSTAWIĆ PROBLEM ŚWIETLIC. Bez podsygu zaprowionych, ożywionych i zorganizowanych czytelników (a to na wsi znaczy bardzo wiele i zainteresowanych kulturą, sztuką i pogłębionych ideologicznie świetlic są i będą martwe, bo w nich żyją i działają CZŁONKOWIE. Trzeba przygotować członków, dać im pójść sami, jako świadkami bojownicy o kulturę a z jej pomocą bojownicy o socjalizm na wsi.

Po pięciu latach uzbierał się na wsi polskiej mematy kapitalizm, kapitalizm polityczny i kapitalizm, o imperializmie, o socjalizmie, o Związku Radzieckim, o naszej rewolucji, naszej drodze, naszej walce, naszej kulturze.

Należy go uporządkować, pogłębić i pomóc chłopstwu dojść do twórczego, nad nim panowania i posługiwania się. Kursy dobrego czytania oczywiście zagadnienie zacieśniają, ale tworzą platformę, na której uczestnicy będą mogli się poruszać w sposób twórczy, a o to przecież idzie.

Staje dlatego przed nami problem kadr organizatorów kursów: nauczyciele, działacze, młodzież ZMP-owa. Trzeba przygotować do tej akcji kierowników kursów. Więcej, trzeba opracować program roczny takiego powszechnego kursu. Szczegółowo w objaśnieniach, aby organizator podał zadania, aby uczestnicy najwięcej osiągnęli.

„Ale przecież to sprawa wielkiej orki, która wprowadzi powszechnie już nie do liter, a do czytania i rozumienia kultury, do urzżenia w niej narzędzia walki ideologicznej i do posługiwania się nim na co dzień.

To sprawa naszej literatury, jej rozwoju, jej treści i komunikatywności, skoro byłoby to bój o 2 miliony przodującego kulturalnie chłopstwa!

Piotr Chmura.

*) patrz poprzedni (32) numer „Wsi”.

Od abecadła do kultury

TEODOR BOREJ

LIST Z WCZASÓW

Grzesiak rozgadał się na dobre. Nie chcąc o tak wczesnej porze budzić wczasowiczów, usiadł sobie w pięknym parku snując wspomnienia.

— Właśnie — powiedział Grzesiak — kiedy leżałem w czasie strajku w 1937 roku na wykopie przemoknięty do nitki, odczułem mocne klucie w krzyżu. Pewien kupiec jeszcze przed wojną doradzał mi kąpiąc jechać na kąpiele do Ciechocinka. Przypomnę sobie, że nie wiedziałem wtedy nic o tym Ciechocinku. Zaczęłem wyobrazić sobie to miejsce i wierzyć, że ten długotrwały dokuczliwy ból... i oto teraz z tą nabytą w strajku w 1937 roku chorobą przyjechałem na leczenie do Ciechocinka.

Po śniadaniu w willi „Arkadia” Grzesiak siedział obok śpiewaczki z Warszawy i chciał podzielić się z nią myślą.

— Piosenka o Ciechocinku nie była brydka... i wszystko to jak „klasowcy” twierdzili na nasze wyz-

Zrozumiał Grzesiaka, barczysty jak z żelaza wykuty dyr. Uniwersytetu Powszechnego w Katowicach ton. Sońta. Właśnie obrano go przewodniczącym Rady wczasowiczów, by swą pogodą ducha i wiarą w człowieka pracy organizował imprezy wczasowe i walczył z obcą i wrogą nudą.

Zauważyłem, że na rozmowę miałby także ochotę człowiek o osmalonej twarzy. Mozoliste dłonie zdradziły go od pierwszego wejścia.

— Nazywam się Czelepek ze Stalowej Woli...

— Swoją drogą na przykład mój syn będzie malarzem artystą. Dwie córki są w gimnazjum... ja w Ciechocinku odpoczywam... wychodzi, że nie podobne to do wczorajszego życia...

— A tak — przeczał tow. Sońta — nie podobne, bo zmieniliśmy władzę... bo to wszystko, co stworzyli ludzie pracy, służy dziś nam.

Kierownik pensjonatu „Arkadii” i „Lesniczanki” tow. Kaliszczak, uważał, że taka ciekawa dyskusja nie może odbywać się na sucho, więc postawił przed nami dzbanek gorącej kawy. Jedzenia nikt sobie tutaj na wczasach nie żąda. Po prostu każdy żąda tyle, ile chce. Również nie obowiązują specjalny regulamin godzin. Toteż siedząc za stołem, nie spieszyliśmy się. Robotnica z PGR-u, była fanka, z długoletniego przyzwyczajenia w czasach niewoli dworskiej, śpieszyła z jedzeniem siorbając gorącą kawę, co bardzo nie podobało się na przeciw siedzącej pani o twarzy gruntownie wymalowanej i grymasach „lepszej sfery”. Zdawało mi się, że tej pani jest za ciasno, i dlatego tak mało je, więc odsunąłem nieco swoje krzesło i podałem jej koszyczek z chlebem.

Wywiązała się rozmowa.

— Kultura, proszę pana, tak samo jak ciepłarniany kwiat, musi mieć warunki, klimat...

— Jak to pani rozumie? — zapytałem — czy to że ci ludzie...

— Wiem — przerwała mi skinieniem ręki — chce pan powiedzieć, że awans społeczny... Ale człowiek, który zaczyna się uczyć na starość jadąc widelcem, proszę pana i na elementarz I klasy patrzy z przerażeniem...

W tym miejscu wymalowana pani przerwała rozmowę, uśmiechnęła się tajemniczo, skinęła głową

i wyszła. W myśl zasady, że wczasu nie są po to, by się dezerwować, poszliśmy na solankowe kąpiele. Ale spokojny był tylko pozorny. Każdy z nas na swój sposób zbierał dowody, by okazać, że kultura właśnie została ocalona dzięki robotnikom ze Stalowej Woli, robotnicy PGR-u i nauczycielowi z Powszechnego Uniwersytetu. Prawdę mówiąc mnie samemu jądanie widelcem jakoś niezręcznie idzie, bo uczyłem się jeść drewnianą łyżką, to prawda, że ludzie z PGR-u zaglądają uroczystość w elementarnej pierwszej klasy. W tym miejscu przyszedł nam z pomocą kierownik Powszechnego Uniwersytetu — kultura — uśmiechnął się kierownik — to my, ludzie pracy. Patrzcie — pokazał na potężne tężnie, sto kilka lat temu zbudowano to pozytywne urządzenie. Budowali je polscy robotnicy. A kto korzystał z tego urządzenia? Wyłącznie klasa posiadająca, dopiero dziś dzieki rewolucji my, ludzie pracy korzystamy z tych kuracyjnych urządzeń.

Przy obiedzie za naszym stołem było rzeczywiście wesoło. Śmialiśmy się z wewnętrznej potrzeby, z zadowolenia, że my robotnicy tworzymy kulturę narodową, że ona rośnie i... że nazywa się naszą kulturą.

Ażeby nasza radość nasyciła się do końca, postanowiliśmy pójść gremialnie na „Brygadę Szlifierza Karhana”. Gdzieś w czwartej odsłonie, ktoś mocno ścisnął mnie za rękę.

— Ale z tym mężem zaufania to u nas w Stalowej Woli tak samo było...

Kiedy stary Karhan zdenerwował się i ubrał z powrotem trzewiki, aby pójść do fabryki, ktoś za plecami nie wytrzymał i krzyknął:

— Tak jest, to prawda...

Długo w noc siedzieliśmy na werandzie, pijani od własnego gadulstwa, bo nikt nie chciał trzymać w zanadrze swoich wątpliwości, czy też pięknych nadziei. Klądliśmy je jak na stół, po kolei, inni dorzucali „swoje pięć groszy”, co chwila wybuchaliśmy wesołym śmiechem.

— Wiecie — podsumował spędzony na wczasach dzień „nasz starszy” Sońta. Radość jak cukier krzepi...

— Ano, kiedy zdawało mi się — nieśmiało wsunął swą uwagę człowiek ze Stalowej Woli — że śmiać się może niepoważnie. Chociaż tutaj w sercu czuję, widzę, że niby te kwiaty i ten park i ta muzyka i kąpiele i ta rozmowa z wami — wszystko to jakby umyślnie dla mnie przygotowane...

Lekki ciepły wiaterek wiał od strony tężni i pachniał przyjemną wilgocią. Pograżaliśmy się jakby w drzemce. Nie, to nie była drzemka. To był obrachunek przeżytych lat. Każdy z nas inaczej, ale każdy jednakowo pracując szedł, walczył i zwyciężył... A w te nasze rozmowy o nowym, które ciągle jeszcze odkrywamy, wplotła się melodia piosenki:

„Ja drugo takiej strony nie znam...”

To ktoś przekreślił gałkę radioaparatu. Słuchaliśmy piosenki nie obcej dzisiaj nawet Koreańczykom, walcącym o prawo do pracy i odpoczynku, jakiego zaznajemy my robotnicy, chłopcy i inteligenci polscy na wczasach 1950 roku.

Teodor Borej.



„Pieją koguty” — Bałtuszisa. Akt III. Od lewej: Kozierska (Marytka), Staszewska (Łabutis), Neno (Anielikie), Chronicki (Powiłas), Tymowska (Rukienie), Bąk (Jonas).

Jonas wie jednak, gdzie chciwa matka chowa pieniądze. Wykrada więc je i przekazuje Biażysowi, który wypłaca Rukienie jej własne pieniądze jako posag swojej córki. W momencie ślubu kradzież zostaje ujawniona i podejrzenie oszalełej z rozpacz Rukienie pada na dziecko — małego pastucha Antanukasa, syna biedaka wiejskiego Łabutisa. Za namową matki Jonas bije chłopca, aż do utraty przytomności, aż do śmierci. Łabutis stara się dojść sprawiedliwości, ale przekupny sąd i przekupni świadkowie pozwalają Rukienie, której dzielnie sekunduje jej nowy zięć — Powiłas — wygrać proces.

O wszystkim słyszy jednak Marytka. I u tej młodej kobiety budzi się z wolna świadomość klasowa: widzi cały beznamiętny podstęp i kłamstwa, całą nędzę moralną rodziny, do której weszła. Widzi, jak Powiłas, jej szwagier, przekupuje świadków, widzi wreszcie, jak Jonas ślepo słucha matki, jak z jej rozkazów staje się mordercą. Sumienie każe jej w dramatycznym momencie wyznać Rukienie, że to jej syn, Jonas razem z nią, a nie Antanukas ukradł pieniądze. Rukienie nie daje za wygraną, a cofnąć się jest już za późno. Razem z Powiłasem postanawiają ostatecznie zniszczyć Łabutisa, wykupują jego weksle, chcą przyprowadzić go do ostatecznej ruiny, chcą uczynić z niego niewolnika. W obronie Łabutisa staje jednak Marytka. Opuszcza ona dom Rukienie i swego rozpamiętanego męża. Jonas, razem z Łabutisem i komornicą Nenienią — rzucając w ostatniej chwili hasło nowych, idących dni, zapowiadając walkę o sprawiedliwość społeczną aż do zwycięstwa. W głębokim głuszy, w ponurą, litewską noc pieją koguty, zwiastujące nowy dzień.

W „Pieją koguty” świadomość klasowa rodzi się u biedoty chłopkiej przez bolesne doświadczenia. Koguty pieją na wsi o każdym świecie, i pianie ich zawsze zapowiada nowy dzień. Czy będzie on inny od pozostałych? Wierzymy, że tak. Wierzymy, słuchając mocnych słów Marytke, która o takim właśnie świecie wyrusza w świat, przekreślając cały swój dotychczasowy byt. Jutro będzie plomieniem społecznego chłopca, o połączenie kresu w wyzyskiwane społeczeństwo na wsi. Pełnię, gdy kurtna znowu poidzie w górę, jesteśmy tego pewni, że stwarzać będzie na Litwie północnej gospodarstwa kolchozowe,

dramat bez zarzutu, uczynił go scenicznym i trzymającym w dużym napięciu widowiskiem. Z drugiej strony język Bałtuszisa (w doskonałym przekładzie Anny Lau-Gniazdowskiej) należy chyba do najpiękniejszych, jakie słyszałem ze sceny. Zamknięta jest w nim cała tęsknota chłopca do wolności, cała zawziętość kulacka, cała walka, płynąca z serca, a nie przeobrażająca w środkach. Bałtuszis nie sili się na zbędne „upraszczanie” języka, nie stwarza jakiegś jego „pseudoludowości”, nie bawi się w żargon. Język jest u niego jeden, literacki, choć prosty. I przez to właśnie — przemawia do wszystkich jednakowo.

„Dziennik Literacki” zamieścił w jednym z ostatnich numerów wzmiankę o pierwszej w Polsce premierze „Pieją koguty” w Teatrze Ziemi Pomorskiej. Można by wymagać od kronikarza „Dziennika” większej orientacji przy zamieszczaniu komunikatów. „Pieją koguty” „idą” na scenie Teatru Ziemi Opolskiej w Opolu od kilku miesięcy i cieszą się olbrzymim powodzeniem. Teatr Ziemi Opolskiej jest teatrem bardzo ruchliwym i znajduje się w stałych rozjazdach. Dzięki niemu „Pieją koguty” oglądają dziesiątki wsi pięknej Ziemi Opolskiej, po spektaklach organizowane są żywe i nader interesujące dyskusje, problem sztuki rozpała do czerwoności widzów. W spółdzielniach produkcyjnych i we wsiach dotąd nieuspołdzielonych „Pieją koguty” obnażają istotę walki klasowej.

I nie tylko na Opolu. Teatr Dramatyczny we Wrocławiu gra sztukę Bałtuszisa już od 1 lipca br. w bardzo starannej obsadzie i reżyserii Czesława Staszewskiego.

Dramat Bałtuszisa posiada nieprzeciętne walory ideologiczne i artystyczne. Należy go uprzystępnić w pierwszym rzędzie jak najszerszym masom chłopskim. Nie wiem, czy którakolwiek inna sztuka nadawałaby się tak bardzo na scenę wiejską, jak ta właśnie. Ze względu jednak na niebezpieczeństwo trywializacji trudnych niewątpliwie ról nie powinny zabierać się do niej zespoły świetlicowe. Byłoby raczej pożądane, by śladem Teatru Ziemi Opolskiej zespoły zawodowe zjechały z „Kogutami” na wieś, szczególnie na wsie nieuspołdzielone. Takie wizyty mogą zdziałać wiele dobrego.

Powinny wziąć to pod uwagę dyrekcje wszystkich teatrów w Polsce.

Leszek Goliński.

Powieść o wsi słowackiej

(Dokończenie ze str. 7)

cenil wpływów, rozciągających się na wieś słowacką z kulackich murawców, zbyt pochopnie osłabił szeregi ciemnych kleryków w rodzaju Dzuraka, nie potrafił odważnie i otwarcie ukazać wielkiego naporu ciemnoty, hamującego, wywołującego dążności mas chłopskich. Przedstawiał zatem raczej perspektywę, niż rzeczywistość 33 roku.

To dalekocześnie umiowanie procesów rewolucyjnej aktywizacji wsi słowackiej mogło się było stać największą siłą książki Krala. Przeszkodził temu nadmiar bezkrytycznego optymizmu.

Książka Frano Krala nosi wyraźny charakter szkicu literackiego, niekiedy nawet przekracza i te granice w kierunku surowych notatek autorskich. Szkieletowo zarysowanym postaciom brak niekiedy głębszej motywacji psychologicznej. Rozwijając akcję, której konstrukcja zasada się na grze trafnie uchwyconych lecz migawkowych spostrzeżeń i wniosków, autor przenosi swą uwagę często zupełnie mechanicznie z jednego wątku powieściowego na drugi. A jest ich, jak w każdej książce podejmującej opis całego środowiska — niemało. Cała powieść Krala to wielkie poszukiwanie wyrazu artystycznego. Epickie próby mieszają się z czysto lirycznymi wstawkami, obok nich pojawia się ekspresjonistyczna deformacja — element groteskowy.

Ważny moment ostatni: groteskowa deformacja. Metodą tą kreślił pisarz sylwetki dziedzica i notara: „Siedzieli naprzeciw siebie, w głębokich, puszowych fotelach. Głowa notara, osadzona na krótkim, tegim karku o niskim czole, obwisłych policzkach, z szerokim ustami i rozplaszczonym nosem, wystawała z plusku jak głowa żaby wychylająca się ze skrzeku; zacerwienione zaś podnieceniem oblicze Polana, naciągnięte na graniasty łeb, z zapadłymi, niebieskimi oczkami i nadłamanym orlim nosem, przypominało podrażnionego indyka. Kiedy rozmawiali, zdawało się, że tegie żabko skrzeczy coś do indyka, indyk zaś gulgocze do żaby”.

Nie pominęliśmy wcale artystycznego wymiaru tych postaci, określających się znacznie wyraźniej samą swą działalnością na terenie Radzianki.

O tej powieści Frano Krala można nazwać próbą chłopkiej epopei, o tyle książka Horaka przypomina legendy o Janosiku, zbójnikach i zbójcach.

Zagroda starego Bartka Bugali — Vahana, w której rozgrywa się akcja książki Horaka, leży wysoko ponad ostatnią górską osadą. Otaczające ją lasy tworzą naturalną zapórę przed wszystkim, co mogłoby przyświecić do świata. Zagroda starego Bartka, to istny rezerwat prymitywu. Stary góral, zaplatający włosy w warkocze, rządzi w swej zagrodzie jak biblijny patriarcha. Mysł jego błądzi przeważnie wśród cieni tych, z którymi chodziło się kiedyś na zbój.

Tak głęboko i wysoko w lasy zaszedł z akcją swej powieści Józef Horak. Ktoś mógłby pytać: czy nie za głęboko, czy rzeczywistość istniała tak zatopiona w lasach, oderwany od świata, rezerwat? Spór o realia powieści Horaka nie jest tu jednak rzeczą decydującą. Ważniejsze są

konsekwencje spojrzenia na świat oka mieszkańców Bartkowej zagrody.

Poznana przez nas Radzianka, wrzaca napięciem klasowych sprzecznosci, leży u stóp tych samych gór, które kryją zagrodę Bugali — Vahana. I tam ludzie wolałi na siebie: gazdol i tam starsi wspominali Janosikowe czasy. Ale najbliższe echo radzianczanskich dramatów nie docierało do świadomości ludzi z gór. Podobnie przespali Vahanowie całą inwazję faszyzmu. Zaczarowany świat obudził dopiero odgłosy, przeprowadzonej przez oddziały SS pacyfikacji po zdławieniu powstania Słowaków. Cofając się armia hitlerowska ubezpieczała starannie swe najbliższe zaplecze. Powódź bestialstwa nie oszczędziła i samotnej zagrody.

Ludzie z zagrody starego Bartka stanęli oko w oko z wojną i faszyzmem. Czy można się dziwić, że przedstawiły się one im w wymiarach apokaliptycznych żywiołów, nieznanymi ciemnymi sił? Wojnę i faszyzm pojęli oni kategoriami otaczającej ich natury. Tymi „samiymi”, w jakie ich ujęto: „Bugalowie, ojciec i syn, wychodzili na przybłę, i patrzyli na niebo. Rozszerzali zarosłe nozdrza i wyszli jak leśna zwierzyzna. Nie musieli się w ten sposób przekonywać, co się gotuje; mogli, że budził się w nich zapomniany, w krew wrosły instykt”. W cytowanym fragmencie mowa o odczuwaniu zbliżającej się zimy.

Biologiczne „pojmowanie człowieka, ucieczka w egzotywny prymityw i wybudowanie ekspresjonizm, określają niemal bez reszty artystyczne oblicze książki Józefa Horaka, ograniczając w dużej mierze możliwość jej pozytywnego ideologicznego oddziaływania na czytelnika.

„Ale jest w tej książce i nadchodzące „nowe”. Jest tam radziecka spadochroniarka, są oddziały słowackich partyzantów, korzystające z doświadczeń i kierownictwa żołnierzy radzieckich, jest wielkie poświęcenie i twarda wola zwycięstwa oswojonej ciemności Armii Czerwonej. Jak wielką klamrą spłątł Horak karty swej powieści młodzieńca miłośnika radzieckiej dziewczyny i słowackiego juhasa.

Dwie powieści słowackie: „Zakręt pod Rachochem” Krala i „Lasy milczą” Horaka; to nie tylko dwa obrazy nieznanych dotychczas polskiemu czytelnikowi dzieł ludzi za gór tatrzańskich. Dwa nowe przekłady — to wyraźne dokumenty dokonującego się w słowackiej literaturze przełomu, zgodnego z kierunkiem socjalistycznych przeobrażeń w naszej prozie literackiej lat powojennych.

Jerzy Skórnicki

*) Frano Kral, „Zakręt pod Rachochem”, tłum. Feliks Gwiżdż, P. I. W., str. 284 + 4 nb.

**) Józef Horak, „Lasy milczą”, tłum. Antoni Brosz, „Wydawnictwo Ludowe”, Warszawa, 1950, str. 220 + 4 nb.

**) notar — urzędnik załatwiający drobniejsze czynności administracyjne, prawa ręką starosty powiatowego w sprawach politycznych i gospodarczych. Notar swą działalnością przytępiał zwykle kilka gmin wiejskich (wg. przypisku tłumacza).

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL, Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wilejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska Nr. 7.

Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. „C Z Y T E L N I K” REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty: miesięcznie 100.—zł.; kwartalnie 300.—zł.; półrocznie 600.—zł.; rocznie 960.—zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080-110 z zaznaczeniem za twg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5 B—119005